



# ODRODZENIE

TYGODNIK

W numerze

M. JASTRUM

Tu actwo

K. PRUS YŃSKI

Prus i nai

Rok V

Warszawa, dnia 1 lutego 1948 r.

Nr 5 (166)

EDMUND OSMAŃCZYK

## Jasno i otwarcie o sprawie niemieckiej

Przyszłość Niemiec — to zagadnienie, w którego rozwiązaniu jesteśmy opóźnieni w stosunku do publicystyki innych krajów. Udzielamy kolejno głosu Edmundowi Osmańczykowi, którego książka „Sprawy Polaków” była pisarską próbą określenia realnej polityki wobec Niemiec i Niemców.

„Mądra polityka w stosunku do Niemiec to niebudzenie ich ducha oporu przez jakiegokolwiek posunięcia, skierowane przeciwko nim, ale dokonanie takich zmian w strukturze społecznej tego kraju, których konsekwencją byłaby rzeczywiste pokójowe i demokratyczne polityka niemiecka”.

(Ryszard Matuszewski „W poszukiwaniu dziesięciu sprawiedliwych”, „Odrodzenie”, nr 151).

Nie jestem tego zdania. Więcej, uważam, że tego rodzaju sformułowania zaciemniają rozsądne podejście do zagadnienia niemieckiego. Ani Związek Radziecki, ani Polska, ani żaden z sąsiadów Niemiec nie może stosować takiej polityki, bo na długą metę okazać się musi ona katastrofalna. I w rzeczywistości ani Związek Radziecki, ani Polska takiej polityki w stosunku do Niemiec nie prowadzi. Postaram się na twierdzenie to dać dowody. Przedtem jednak chciałbym przypomnieć pewne fakty z historii narodu niemieckiego i polskiego.

Stosunki polsko-niemieckie układały się zawsze źle. Ilekroć wzrastała siła Niemiec. Wszystko, co wzmocniało Niemcy, osłabiało Polskę. Więcej — wzmagało pogardę i nienawiść Niemców do Polaków, ponieważ wychowanie pruskie kształtowało przez wieki człowieka niemieckiego w pogardzie dla słabych ludzi i słabych narodów. Skutki takiego wychowania dają nam „czasy pogardy”, które z trudnym przeżył Naród niemiecki doszedł do barbarzyństwa hitlerizmu przez spowolnienie pogardy do ludzi i narodów słabych.

Pogarda Niemców wobec narodów słabych miała dwa źródła — pogardy dla fizycznej (gospodarczej i militarnej) słabości oraz pogardy dla głupoty politycznej narodu, który ze słabości wydobycie się nie potrafił. Traktat wersalski, który pozostawił silne Niemcy a słabych sąsiadów Niemiec wygrał Niemcy po mistrzowsku. Traktat Wersalski papierową formułą o winie Niemiec za wywołanie wojny światowej dawał papierową satysfakcję moralną Europie. Niemcom natomiast dobrze zorganizowana dynamika buntu przeciw „wersalskiemu upokorzeniu” oparta o nie zniszczony przemysł niemiecki. Słaba Europa widząc swój wersalski błąd, nie mając dość siły, odwagi i rozstrojności, rozpoczęła Briandowską „mądrą politykę” w stosunku do Niemiec — niebudzenie ich ducha oporu przez jakiegokolwiek posunięcia, skierowane przeciwko nim”, lecz (poprzez wzmocnienie ciężko-przemysłowej Republiki Weimarskiej) „dokonanie takich zmian w strukturze społecznej tego kraju, których konsekwencją byłaby rzeczywiste pokójowe i demokratyczne polityka niemiecka” (wówczas Stresemanna).

Jak wiemy z historii, ukoronowaniem tej polityki było Monachium w 1938 r.

Sprawa niemiecka dla nas i dla świata jest tragicznie prosta:

Naród niemiecki, który dziś żyje w środku Europy, jest narodem zatruętym przez barbarzyństwo historii Prus.

Naród niemiecki, który dziś żyje w środku Europy, musi przestać być tym, czym ciągle jeszcze jest — amoralnym, egoistycznym, nihilistycznym narodem, a musi stać się narodem moralnym, humanitarnym i ideowym.

Wierzę w zatracenie w hitleryzmie wartości ludzkie narodu niemieckiego, lecz nie wierzę w człowieka niemieckiego roku 1948, tak jak nie wierzyłem w niego w roku 1928, 1938 czy 1944. Nie mogę być bardziej niemiecki od Niemców. Niemiec wierzy w siebie jako Niemca, nie jako człowieka. Wiara człowieka w siebie narzuca wiarę w każdego człowieka, bez względu na rasę, wyznaczenie czy poglądy. Wiara Niemca w siebie narzuca mu wiarę w Niemców. I to jest ta przepaść, która oddzieliła Niemców od świata i dzieli po dziś dzień.

Jestem fanatykiem ponownego wychowania Niemiec i wierzę, że jest ono możliwe. Obecne społeczeństwo niemieckie jest porażone obłędem, atakami owego szalu, które wykrwawiły i wyniszczyły Europę. Jedyna metoda leczenia

obłędu jest wstrząs psychiczny. Dla Niemiec oznacza to konieczność przejęcia głębokiej rewolucji społecznej, kulturalnej i moralnej.

Obecny naród niemiecki chce tylko odbudować dawne Niemcy. Zgodzić się na to mogą jedynie Amerykanie, których strategicznej polityce europejskiej potrzebni są Niemcy obojętni jacy, byle amerykańscy. Dlatego też amerykańska polityka w stosunku do Niemiec „to niebudzenie ich ducha oporu przez jakiegokolwiek posunięcia skierowane przeciwko nim”.

Europejska polityka w stosunku do dzisiejszych Niemców musi być jednak skierowana przeciwko nim. Skoro Niemcy sami nie chcą się zmienić, trzeba zmusić ich do tej zmiany, mimo budzenia przez to wśród Niemców ducha oporu. Leży to w interesie i Europy i narodu niemieckiego.

Spśród czterech okupantów jeden Związek Radziecki zdecydował się w pełni na tę najbardziej niepopularną politykę. Zmusił Niemców w swej strefie do reform społecznych, zainicjował i konsekwentnie przeprowadził likwidację Prus, biorąc na siebie całą nienawiść przeciwnika Odra — Nysa tego wrzodu historii narodu niemieckiego, jakim były Prusy. To było świadome osłabienie Niemiec a wzmocnienie Polski i Czechosłowacji i pośrednio niewątpliwie Francji. Oczywiście osłabienie nacjonalistycznych pruskich Niemiec a wzmocnienie Niemiec niemieckich. Bo choć to brzmi jak paradoks, tylko ta droga osłabienia pruskich Niemiec, można osiągnąć odrodzenie moralne, a zatem wzmocnienie narodu niemieckiego.

Naród niemiecki przekonany o swej sile materialnej uznał siły moralne za dekadencję humanitarnych fantazjów. Poniosłszy klęskę, marzy znowu o odbudowie swej siły materialnej. Pustynia moralna, jaką są dzisiejsze Niemcy, przeraża i cudzoziemców i te kilka garści Niemców, którzy widzą jasno, że od odbudowy państwa ważniejsza po stokroć jest odbudowa narodu.

W r. 1945 hitleryzm został powalony, a naród niemiecki, niewątpliwie odpowiedzialny za hitleryzm, przygotowany był na przymusową, długoletnią, ciężką ekspiację. Zniszczenie całego niemieckiego aparatu państwowego było ciosem tak przekonywującym, że najbardziej szowinistycznym elementem oddbrało jakiegokolwiek nadzieję na odrodzenie minionej siły.

W r. 1945 istniała wśród wszystkich Niemców świadomość przegranej wielkiej gry. Dla reedukacji Niemiec był to jedyny pozytywny punkt wyjścia. Proces reedukacji musi bowiem przejść następujące stadia w świadomości Niemców:

1. Niemcy przegrały totalnie wojnę.
2. Niemcy nie mają żadnej nadziei na odrodzenie dawnej swej siły politycznej.
3. Niemcy popełniły ogrom błędów w ocenie wartości innych narodów.
4. Niemcy zawiniły wobec ludzkości.
5. Niemcy mają szansę zachowania swej osobowości kulturalnej tylko przez powrót do rodziny narodów europejskich.
6. Niemcy muszą odrodzić się moralnie, by zdobyć prawo do współżycia z innymi narodami.

W r. 1947 na skutek targ między zwycięzskimi okupantami Niemiec, targ przedstawianych Niemcom w języku niemieckim w prasie okupowanych stref, Niemcy doszli do wniosków, które utrudniają możliwość reedukacji Niemiec.

Oto te wnioski:

1. Niemcy totalnie wojny nie przegrały, ponieważ wielka gra toczy się dalej.
2. Wobec klótni między zwycięzcami Niemcy mogą mieć nadzieję na odrodzenie dawnej swej siły politycznej.
3. Wobec faktu oczerniania się przez zwycięzców, Niemcy nie popełniły błędów w ocenie wartości narodów alianckich.
4. Wobec ujawnienia dokumentów, które dowiodły współpracy

Hitlerem przed wojną wszystkich państw alianckich, Niemcy idąc z Hitlerem nie zawiniły wobec ludzkości.

5. Niemcy mają szansę utrzymania swej osobowości politycznej tylko przez popieranie rozbitcia na dwa obozy rodziny narodów europejskich.

6. Niemcy zatem muszą odrodzić się ekonomicznie i politycznie, by stać się znowu partnerem w nie skończoną jeszcze wielkiej grze.

Bez znaczenia jest, czy wnioski powyższe mogą zrealizować Władze Niemców zrealizowane. Ważne jest natomiast to, że w ten sposób myśli dziś większość Niemców, którzy w r. 1945 gotowi byli już uznać dwa pierwsze podstawowe punkty wyjścia dla procesu reedukacji. Innymi słowy, powszechna reedukacja narodu niemieckiego napotkała wielkie opory, nim się rozpoczęła.

Z dwunastu milionów Niemców, byłych członków NSDAP, żyje dziś w Niemczech na wolności co najmniej 10 milionów. Nie trzeba chyba dodawać, że do partii Hitlera nie przyjmowano ciemajdów, lecz ludzi aktywnych, obojętnych czy karierowiczów czy ideowców, w każdym razie ludzi energicznych.

Z 70 milionów narodu wyciągnąć 12 milionów ludzi aktywnych to znaczy pozostawić poza partią maleńki procent aktywnego narodu i obryzwać resztę bierną masę.

Wiemy jednak, że i dla tej biernej masy istniała wielka ilość organizacji hitlerowskich, ugniatająca przez 13 lat móżdżki tej masy gebbelsowską propagandą. Około jeszcze 20 milionów Niemców przeszło przez te 13 lat przez organiza-

cje hitlerowskie bezpośrednio podległe NSDAP. W sumie 32 milionów Niemców wychowały indywidualnie hitlerowskie organizacje pozapartyjne i partyjne. To znaczy, że dziś w Niemczech co drugi przynajmniej człowiek przeszedł organizacyjne przeszkolenie hitlerowskie.

Z kolei tej masie zhitleryzowanej przeciwstawimy tych Niemców, którzy przeszli organizacyjne przeszkolenie demokratyczne. Sięganie do tradycji weimarskiej republiki nie nam nie da, jako że tradycje te zostały zmiżdżone totalnie przez hitleryzm, z tej przeszłości pozostają więc trzy garście Niemców demokratów:

— Garść pierwsza — więźniowie obozów koncentracyjnych, garść druga — emigranci polityczni, garść trzecia — ta reszta aktywnego narodu niemieckiego, która tworzyła „wewnętrzna emigrację” w latach hitlerowskich. Do tych trzech grup doszła po klęsce Niemiec grupa czwarta, najwartościowsza, choć równie nieliczna i równie skłonna, garść młodzieży, pragnącej znaleźć nienazistowskie wyjście z klęski.

Słabość liczebna elementu demokratycznego w Niemczech nie byłaby przeszkodą do demokratyzacji Niemiec (oczywiście obliczonej na dziesiątki lat), gdyby okupacja Niemiec rzeczywistnie paraliżowała milionową masę organizacyjnie przez hitleryzm przeszkolonych Niemców. Tymczasem, jak wiemy, to się nie stało. Okupacja anglosaska nie sparaliżowała nazistów, przeciwnie, do dnia im niespodziewanej otuchy w chwili obecnej działa nazistowskie podziemie, które coraz zaczyna tu i ówdzie terroryzować tych Niemców, którzy z przekonania a nie dla kamuflażu, głoszą idee demo-

kratyczne. Ogłoszone w listopadowych numerach amerykańskiego magazynu „Collier's” artykuły Sigrid Schultz o podziemiu niemieckim były niezwykłą sensacją dla Ameryki, nie były one jednak rewelacją dla Europejczyków, znających Niemcy i obserwujących powolne koleje sprawy Niemiec na terenie międzynarodowym.

Nie jest tajemnicą, że gra o Niemcy między Ameryką a Związkiem Radzieckim jest grą o Europę. Dla Europy istotne jednak jest, jakie metody stosuje się wobec Niemców w tej grze, czy takie, które denacyfikują Niemcy, czy takie, które renacyfikują Niemcy, czy takie, które odbudowują dawne Niemcy, czy takie, które zmuszają Niemcy do przemian zasadniczych.

Nie należę do zwolenników komunizmu ani w Polsce, ani w Niemczech, ceniąc jednak obiektywnie politykę mocarstw w b. hitlerowskiej Rzeszy, stwierdzę murem, że polityka amerykańska używa metod sprzecznych z interesami europejskimi, jeśli w Niemczech:

1. odrodziła rewizjonizm a tym samym wzmocniła zaborczy nacjonalizm;
2. sparaliżowała reformy socjalne;
3. opóźniła likwidację przemysłu wojennego;
4. otworzyła nadzieję Niemców na kredyty amerykańskie, które — o czym pamiętają i Niemcy i Europejczycy — już raz po przegranej wojnie dopomogli Niemcom do odbudowania swej siły państwowej a znihilizowania ogólnoludzkich wartości narodowych;

oraz muszą stwierdzić, że polityka sowiecka używa metod zgodnych z interesami europejskimi, jeśli w Niemczech:

1. nie daje żadnych nadziei rewizjonistom, a tym samym zaborczemu nacjonalizmowi;
2. zmusza do reform socjalnych;
3. likwiduje drastycznie przemysł wojenny;
4. stawia Niemcom za cel odbudowanie swego kraju własną pracą na zasadach sprawiedliwości społecznej w duchu narodowym niemieckim, lecz nie nacjonalistycznym.

I jeśli dziś w Niemczech wielu jest nastawionych pro-amerykańsko, to może to być tylko w Waszyngtonie uznane za zaszczytne zwycięstwo polityki amerykańskiej w Europie, lecz w ocenie Europejczyków jest łatwą najniebezpieczniejszą, bo zwycięstwem odniesionym dzięki podtrzymywaniu nadziei starego nacjonalizmu niemieckiego. Amerykanie, którzy twierdzą, że polityką ich kieruje konieczność walki z komunizmem, zmuszają Europejczyków do przyznawania w sprawie niemieckiej racji... komunistom.

Kolega Ryszard Matuszewski po tygodniowym pobycie w Niemczech, formułując zasady „mądrej polityki niemieckiej”, dał poważną politykę amerykańskiej z... sowiecką, a więc „niebudzenia ducha oporu Niemców przez jakiegokolwiek posunięcia, skierowane przeciwko nim” i... „dokonywania takich zmian w strukturze społecznej tego kraju, których konsekwencją byłaby rzeczywiste pokójowe i demokratyczne polityka niemiecka”. Zastosowanie tej syntezy w praktyce dało nam ostatnio zerwanie Konferencji Londyńskiej i frankfurckiej podział Niemiec na zachodnie i wschodnie. Nie jestem pewien, czy Ygrekowi właśnie o to chodziło.

Przykro mi, że jako niemarksista byłem zmuszony wyjaśniać marksistom rzeczywiste wartości polityki marksistowskiej w Niemczech. Przypuszczam, że stało się to dlatego, że po nocy wojennej narzuciłem sobie obiektywizm jako jedyną metodę unikania błędów i rozczarowań, płynących z niewiedzy i pobożnych życzeń.

Czy w Niemczech zwycięży ostatecznie komunizm, socjalizm czy stary nacjonalizm, czy też powstanie jakiś nowy niemarksistowski prąd moralny, który reedukacji Niemiec nada swój charakter — to pokaże przyszłość, a ścisła analiza możliwości poszczególnych wymienionych wyżej kierunków wymagałaby osobnego, obszernego studium, jakie od dawna pragnę napisać.

Jedno jest pewne, że mądra europejska polityka w stosunku do Niemiec, to czynienie wszystkiego, co mo-

że zmienić naród niemiecki. Półki naród niemiecki będzie trwał w samolubstwie, zaborczości, amoralności bezdeowości, póty nie ma Niemiec dla Europy, póty istnieć będzie niebezpieczeństwo niemieckie w Europie.

Ponieważ Europa nie może czekać, aż się Niemcy pod przymusem czy z dobrej woli zmieniają wobec powyższego Europa musi zmienić dawny korzystny dla Niemców układ sił — silnych Niemiec a słabych ich sąsiadów — na silnych sąsiadów Niemiec, a słabe Niemcy.

„Niemcy są trzeźwym narodem — pisałem w „Sprawach Polaków” — Nigdy nie uderzają na silnych. Niemcy są posłusznym, wartościowym narodem — wśród silnych, barbarzyńcami są — wśród słabych”.

I to jest odpowiedź na pytanie Ygreka, „co to znaczy „nas wzmocnić a Niemcy osłabić?”

I to jest zarazem odpowiedź na pytanie, dlaczego wierzę mimo wszystkich międzynarodowych klęsk w możliwość reedukacji narodu niemieckiego.

Na koniec słowo o Łużycach. Losy tego najmniejszego narodu słowiańskiego zajęły wiele miejsca w dyskusji między Iksm i Ygrekiem i moje tezy co do kształtowania politycznej przyszłości tego narodu były punktem wyjścia dla zarzutów Ygreka w stosunku do mnie i do nieszczytliwego sformułowania „polityki w stosunku do Niemiec”. Otóż w „Sprawach Polaków” wysunąłem koncepcję nie niepodległego państwa lużyckiego, lecz „niepodległego Niemcom narodu lużyckiego”, to znaczy w ramach państwa niemieckiego szerokiej autonomii kulturalnej, religijnej i gospodarczej (nie politycznej).

Ygrek zbagatelizował sprawę lużycką starając się wykaazać „nieistotność całego wielkiego problemu”. I znowu nieporozumienie. Oczywiście, jeśli Niemcy pozostaną nacjonalistyczne, problem lużycki będzie nieistotny jak za czasów Hitlera i jak nieistotny byłby problem... polski w razie zwycięstwa Hitlera. Jeśli jednak Niemcy zostaną odmieńnione, to wówczas współżycie choćby kilkudziesięciu tysięcy Słowian z Niemcami na płaszczynie szacunku dla swej odrębności kulturalnej jest bardzo istotne, stałe się bowiem problemem reedukacji Niemiec. Przecież tak, jak w latach 1933—1939 odnosili się Niemcy do Łużycan, tak w latach 1939—1945 odnosili się do Czechów, Polaków, Serbów, Ukraińców, Rosjan.

Rozumieją to zresztą Rosjanie, w których strefie okupowanej Łużycanie żyją. Zezwolili im na działalność kulturalną, religijną i gospodarczą. Politycznie polecieli Łużycanom brać udział w życiu partii niemieckich. I w szybkim czasie Łużycanie stali się bardzo istotnym czynnikiem reedukacyjnym dla Niemców — miażdżąc — demaskując nacjonalizm, i co dla nas ważne, rewizjonizm tych wszystkich Niemców, którzy sądzili, że wystarczy deklamować o demokracji, aby być demokratą.

Każdy człowiek ma prawo do życia po człowieczemu, i każdy, choćby najmniejszy naród ma prawo do zachowania swej odrębności. Jeśli Niemcy sami nie chcieli tego prawa Łużycanom przyznać, to zmusili ich do tego Rosjanie. Nie widzę powodu, dlaczego my, sąsiadzi Łużycan i Niemców, mieliśmy wyrokowi o „nieistotności problemu” dawać Niemcom wolną rękę w decyzji o losach najmniejszego narodu słowiańskiego. Jeśli odmawiamy tego prawa Niemcom w odniesieniu do kilkudziesięciu tysięcy Polaków w Westfalii. To z punktu widzenia moralnego.

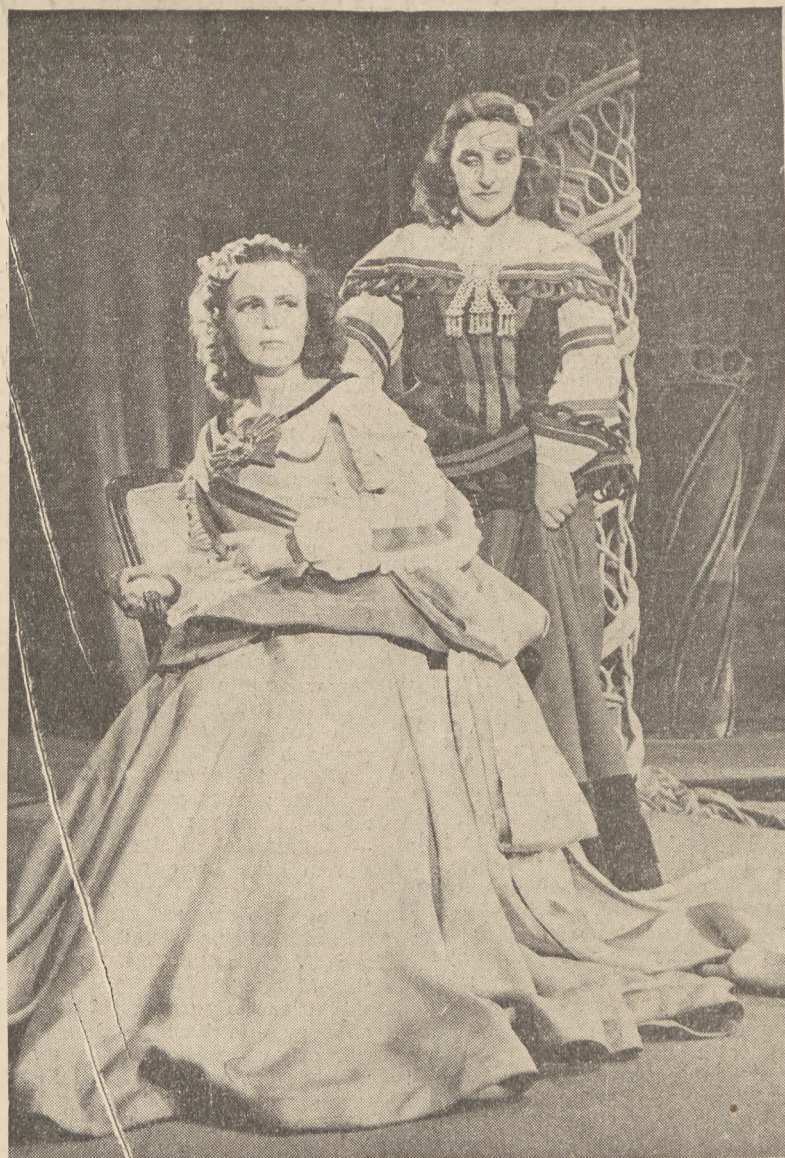
A z punktu widzenia politycznego przypominę, że mądra polityka w stosunku do Niemiec to czynienie wszystkiego, co może zmniejszyć naród niemiecki.

Jeśli jednak śmieśniesz mała w światowych proporcjach liczba Łużycan skłania Ygreka do przekonania, że nieistotny jest ten problem to z przerwaniem muszę w tym dostrzec — użyję tu twardego słowa Ygreka — „ideologię niewiary w człowieka i pesymizm”.

To wszystko, co miałem do powiedzenia w obronie własnej i w obronie rozsądnego traktowania sprawy niemieckiej.

Edmund Osmańczyk

### Dobre przedstawienie w teatrze Polskim



fol. Film Polski

Teatr Polski w Warszawie wystawil niedawno „Cyda” Wyspiańskiego w reżyserji E. Wiercińskiego, z dekoracjami T. Roszkowskiej. Na zdjęciu: E. Barszczewska (Infantka) i Z. Małynicz (Eleonora).

### Od Administracji

Mimo podniesienia ceny poszczególnego numeru do zł 25, prenumerata miesięczna „Odrodzenia” wynosi — jak dotychczas — 80 zł.



WACŁAW BIELECKI

# Śladami partyzantów

„Odrodzenie” zamieściło w numerach 155, 156 i 159 trzy reportaże Wacława Bieleckiego, opisujące współczesną Jugosławię i jej walkę na drodze postępu. Artykuł poniższy maluje niedawną przeszłość wojenną, kiedy partyzanci Tita walczyli o niepodległość ludów jugosłowiańskich.



Budowa mostu na Neretwie

Wjechaliśmy w wagonie drugiej klasy kolejki wąskotorowej Belgrad-Sarajewo. My, to znaczy: Welko Korać, mój przyjaciel jugosłowiański, który zaprosił nas do Belgradu, kolega — dziennikarz Zygmunt, i ja. Była noc. Kiwalismy się w takt turkotu kół, drzemać. Naraz obudziła nas cisza. Pociąg stanął.

— Co to za stacja? — zapytał rozespany Welko.

Wyjrzałem przez okno: Użyce, Titowo-Użyce.

— Użyce! — powtórzył Welko i od razu się przebudził. — Tutaj w 1941 roku rozpoczęła się walka partyzancka — powiedział. I zaczął opowiadać. Czasu mieliśmy sporo. W nocy przeszła przez oklicę burza, w czasie której obsunęła się skała i zawałiła tor kolejowy kilka kilometrów przed nami. Przymusowy postój trwał siedem godzin i siedem godzin opowiadał nam Welko o walce wyzwoleniczej swego narodu podczas okupacji. Stuchaliśmy jak urzeczony. O walce braci Jugosłowian nie potrafię tak pięknie i gorąco mówić jak Welko, który przez cały czas, od 1941 roku, brał czynny w niej udział. Ale postaram się zwięźle podać fakty i wyciągnąć z nich pewne wnioski.

Użyce, miasteczko, w którym zatrzymał się nasz pociąg, jest kolebką powstania w Serbii w 1941 roku. Niemcy prowadzili wtedy ofensywę na całym froncie wschodnim i przetrucili tam główne swoje siły, w okupowanej Jugosławii pozostawiając tylko niewielkie załogi. Stało się jasne, że osławiona wojna blyskawiczna tym razem się nie powiodła. Kierownictwo walki z Titem na czele uznało, że nadezła odpowiednia chwila, by rzucić hasło do powstania.

Fierwszym czynem powstańców w Serbii był niespodziewany atak i zajęcie miasta Użyce. Los padł na Użyce nie tylko ze względu na ich wspaniałe położenie, lecz przede wszystkim na znajdującą się tam fabrykę broni, która od razu stała się arsenałem wojsk partyzanckich. Zdobyte Użyce dało hasło do powstania całej Serbii. Jak grzyby po deszczu powstawały mniejsze i większe oddziały partyzanckie, które zajęły wiele miejscowości. Sytuacja Niemców stawała się niebezpieczna. Walka na tyłach, która rozszerzała się coraz dalej i objęła nie tylko Serbię lecz również Czarnogórę, Bośnię, Hercegowinę oraz gorzystą część Dalmacji — postawiła od razu pod znakiem zapytania wszystkie korzyści strategiczne, jakie osiągnęli Niemcy zajmując Balkany. Wiadomo przecież, że zdobycie Bałkanów uważał za niezbędny warunek uderzenia na Związek Radziecki jak i podboju na Bliskim Wschodzie. Tędy prowadziła droga do hegemonii Hitlera nad światem. Wybuch powstania w Jugosławii zagrażał poważnie jednemu skrzydłu wojsk niemieckich na froncie radzieckim i groził odcięciem Reichu od południa. Nie więc dziwnego, że Niemcy sięgnęli do siły (aż cztery dywizje i ośmiu „ustaszów” Fawelicza) i rozpoczęli pierwszą wielką ofensywę w celu stłumienia powstania w zarodku.

Niemcy zgromadzili swoje siły w czterech punktach wyjściowych — w Walewie, Kragujevacu, Szabacu i Krajewie, aby ze wszystkich stron rozpocząć koncentryczne uderzenie na główny punkt oporu partyzantów — Użyce. Jako forpocztę okupantów rzucił na siły partyzanckie czelników ostawionego Draży Michajłowicza. Taktyka Michajłowicza w pierwszym okresie do złudzenia przypominała taktykę naszych „londyńczyków”. Naczelne hasło — stać z bronią u nogi, nie dopuszczać do wzmożenia zbrojnej walki przeciw okupantom. Reakcja jugosłowiańska stosowała charakterystyczną metodę wzniesienia bratobójczych walk, rzezi Chorwatów, Muzułmanów, Macedończyków. Ale zasada neutralności i „obosieczności” nie mogła się na dłuższą metę utrzymać. Gdy walka mas ludowych z okupantem stawała się coraz bardziej zaciekła, a siły i sukcesy partyzantów rosły, siły czelników toniały.

Przed pierwszą ofensywą oddziały czelników Michajłowicza liczyły najwyżej pięć tysięcy ludzi, oddziały partyzanckie co najmniej — piętnaście. Kiedy doszło do decydującego starcia pomiędzy okupantem a powstańcami, Michajłowicz miał do wyboru dwie drogi — połączyć się z partyzantką, albo jawnie stanąć po stronie wroga. Zdradca wybrał drugą możliwość. Zawarł z Niemcami umowę w Walewie i zatakował niespodzianie oddziały powstańcze, dywersją osłabiając linię obrony przeciwko Niemcom. Pod Karapanami koło Użyce powstańcy rozbili czelników i otoczyli siły Michajłowicza w Rawnogórzu. Draża zaproponował wtedy porozumienie, które partyzanci Tita, w interesie walki z okupantem — przyjęli. W tym czasie zaczęła się ofensywa, w której, mimo porozumienia, czelnicy brali jawnie udział po stronie Niemców. Trzeba przyznać, że wiele oddziałów, oburzonych zdradą Michajłowicza, przeszło na stronę partyzantów. W ten sposób już we wrześniu 1941 roku zdemaskowano zdradzieckie intencje Draży Michajłowicza i jego czelników, odgrywających rolę zbrojnych band reakcji, zdrójców i kolaborantów. A na Zachodzie przez wiele lat krążyły legendy o Draży — królu gór, bohaterze walki zbrojnej z okupantem.

Pod naporem ofensywy niemieckiej, po ciężkich, dwa miesiące trwających walkach, główne siły partyzantów musiały się wycofać z Serbii do Sandżaku i Czarnogóry. W Czarnogórze powstanie wybuchło wcześniej niż w Serbii, bo już 13 lipca 1941 roku. Tu walka była powszechna, cały naród wystąpił przeciw okupantom, a bronili się tak żywiłowo i zaciekle, że już po dwóch tygodniach cała prawie Czarnogóra została wyzwolona. Większe tylko ośrodki, jak Cetynia, Podgorzyce, Nikszic pozostały w rękach faszystów włoskich. Zwycięstwo powstańców w Czarnogórze było ciosem dla Mussoliniego. Oznaczało bowiem przecięcie włoskiej strefy okupacyjnej na dwie części i przerwanie komunikacji z ważnymi ośrodkami nadmorskimi. Totę faszystki spieszyli się odciągnąć kilka dywizji z Albanii i Grecji i rzucić je z dwóch stron na Czarnogórę, prowadząc jednocześnie gwałtowną akcję lotniczą. Po sześciu tygodniach ciężkich walk udało się wojskom włoskim odeprzeć wojska partyzanckie od linii komunikacyjnych. Ale partyzanci mimo to nie przestali działać, niepokojąc ze wszystkich stron wroga. Po wycofaniu się głównych sił Tita z Serbii, walczące oddziały partyzanckie i czarnogórskie spotkały się w Sandżaku i Czarnogórze.

Siedem godzin przymusowego postój upłynęło ram szybko i interesująco. Była godzina 7.30 nad ranem. Welko wyjrzał przez okno i zapytał konduktora, czy długo jeszcze będziemy stali. — Może o 10-ej, może o 12-ej, a może dopiero o 2-ej ruszymy — odpowiedział beztrząskko zagadnięty. — W każdym razie macie na pewno dwie godziny czasu. — Wobec tego Welko i Zygmunt postanowili przejść się po historycznych Użycach i wysiedli z pociągu.

Nie upłynęło nawet 5 minut, gdy rozległ się przeraźliwy gwizd lokomotywy i pociąg ruszył. Do Sarajewa przyjechałem więc sam i tam czekałem na współtowarzyszy podróży, którzy mocno skonfundowani zjawili się dopiero w sześć godzin później. Okazało się, że zنعني szyldeem niejęsrowego golibrody obiecującego „olenie ze wszystkich szyskanami „za jedne dwa dinary”, dali się skusić i spóźnili się na pociąg.

Dalszego ciągu opowieści Koracza o wojnie partyzanckiej w Jugosławii wystuchaliśmy dopiero w stolicy Bośni, w Sarajewie. Tak się złożyło, że następny etap walk związanych jest właśnie z Bośnią, zwłaszcza z okolicami Sarajewa.

Po niepowodzeniach partyzantów w Serbii i Czarnogórze, w narodowym ruchu wyzwoleniczym nastąpił pewien kryzys. Chwilnie, słabsze elementy zaczęły odpływać, siły partyzantów słabły. Wykorzystał to wrog, terrorem usiłując ostrążyć mniej zdecydowanych, aśać panikę, postrach i zamęt wśród ludności, a metodami kolaboracyj-



Dziewczyna-partyzant

nizmu demoralizować szeregi walczących. Kierownictwo ruchu wyzwoleniczego z Titem na czele zrozumiało, że dotychczasowe formy walki partyzanckiej są w nowej sytuacji niewystarczające i nieodpowiednie, że trzeba stworzyć nową organizację sił zbrojnych, opracować nowe, bardziej skuteczne metody walki z wrogiem. Nowa organizacja sił zbrojnych — to brygady proletariackie i szturmowe. 29 grudnia 1941 roku Tito stworzył w Rude, głównie z oddziałów czarnogórskich, pierwszą proletariacką brygadę, a nieco później, w Nowej Waroszy, z partyzantów serbskich drugą brygadę proletariacką. Odąd zaczyna się nowy etap walk wyzwoleniczych Jugosławii.

Zerwano ostatecznie z dotychczasową metodą czerpania się na oddziałach partyzanckich, związanych z jakąś miejscowością, w której okolicy przeprowadzały operacje. Stworzono brygady z najpewniejszych i najbardziej zdecydowanych do walki na śmierć i życie elementów, podlegające żelaznej dyscyplinie wojskowej. Były to jednostki ruchome, przetrzucane z miejsca na miejsce według określonego planu, które zadawały nieprzyjacielowi niespodziewane ciosy i tworzyły wciąż zmienny i nieuchwytny, ale nieprzerwany front.

Po utworzeniu pierwszych brygad szturmowych Tito przetrucił bazę operacyjną z Sandżaku i Czarnogóry do Bośni, w okolicy

miasta Vares, niedaleko Sarajewa. Jest to okręg gorniczy, w którym można było liczyć na napływ świeżych sił proletariackich, uzbroić i wyżyć wojska partyzanckie, a jednocześnie niszczyć obiekty przemysłowe wroga. Tu w szybkim tempie utworzono i wyszkolono nowe brygady, obznajomione z nowoczesną wojną techniczną. Przenosząc się z miejsca na miejsce, siły partyzanckie dotarły do obszarów nie objętych jeszcze ruchem wyzwoleniczym, zwłaszcza do Hercegowiny, gdzie roznieśli nowe ogniska walki z okupantem.

Druga ofensywa niemiecka, która rozpoczęła się w styczniu — lutym 1942 r., po koncentracji głównych sił w okolicach Sarajewa, nie dała poważniejszych wyników. W łeb wzięła również ofensywa ofensywa na wiosnę 1942 roku. Mimo szumnych zapowiedzi o zupełnym zniszczeniu „band partyzanckich”, narodowe siły wyzwolenicze nie osłabły, le poważnie okrzepły i rozszerzyły zasięg swej działalności bojowej. Nowa organizacja wojskowa, nowe metody walki zdały całkowicie egzamin w oeniu bitewnym i stereotypowe chwytły taktyki niemieckiej otoczenia i wycięcia sił partyzanckich skończyły się fiaskiem. Przypominało to zabawę w kotka i myszkę, w której mysz zawsze umykała w chwili, gdy kot rzucał się do skoku.

Już w pierwszej połowie 1942 roku, gdy na Zachodzie o drugim froncie tylko mówiono, w Jugosławii powstał na tyłach wroga prawdziwy drugi front, poważnie zagrażający hitlerowskiemu blokowi. W 1942 r. Jugosławia była jedynym z okupowanych krajów, gdzie sporadyczne walki przetrwały, w stałą wojnę partyzantów, mającą poważne znaczenie militarne dla obozu antyhitlerowskiej koalicji.

\*

Z Sarajewa do Dubrownika udaliśmy się kolejką wąskotorową zbudowaną jeszcze za czasów monarchii austro-węgierskiej. Kiedy już mowa o niemożności c. k. Austrii — przypomina się mimo woli piosenka śpiewana przez armię Szwajców, którzy zajmowali Bośnię i Hercegowinę dla swego cesarza Józefa:

„Ja cisarza pana i jego rodzinę  
myśli musieli wynajmować”

Hercegowinę...

A więc jedziemy przez Bośnię i Hercegowinę doliną rzeki Neretwy. I choć ma ona służyć tylko za tło dalszej opowieści o walkach partyzanckich, nie sposób o niej nie wspomnieć. Takiej cudownej rzeki nie widziałem dotąd. Trudno porównać Neretwę nawet z Dunajem. Woda mieni się wszystkimi kolorami — biała, srebrna, ciemnozielona, bładozielona, szmaragdowa, niebieska. Wodospady przypominające wodogrzmoty Mickiewicza i ciągle przełomy. Krajobraz przypomina niekiedy przełaz Dunajca — Pieniny może nawet jeszcze piękniejsze, bo nie samotne, lecz w obramowaniu potężnych wysokogórskich łańcuchów. To jakby Tatr i Pieniny splete w jedno mieniącym się pasem Neretwy. Tu właśnie, na stokach tych gór w dolinie rzeki Neretwy, rozegrała się największa bitwa w dziejach jugosłowiańskich walk partyzanckich.

Welko Korać znalazł tu każdą górę, każdą miejscowość. Co chwila wychylał się przez okno i wołał: — „Patrzcie! Patrzcie! To jest słynna góra Preń, przez nią przebiegły cztery tysiące rannych. Tu był most, przez który przepłynęliśmy na drugi brzeg Neretwy. Tutaj rozbiliśmy dywizję włoską Murcia”.

W czerwcu rozpoczął Tito słynną ofensywę na Zachód. Gdy Niemcy wciąż jeszcze usiłowali okrzepić wojska powstańcze w Bośni — Tito przegrupowywał swoje siły i dwiema wielkimi kolumnami uderzył jednocześnie na zachód i północny-zachód w kierunku na Adriatyk. Śmiało, niespodziewanie uderzenie. Pierwszą ofensywą partyzancka odniosła pełne zwycięstwo i zdobyła wszystkie punkty strategiczne.

Wojska partyzanckie zajęły na przestrzeni kilkuset kilometrów wiele miejscowości, przetrucili wojnę powstańczą na nowe terytoria — Chorwację, Dalmację i Słowenię. Rozbiły bandy „ustaszów”, zlikwidowały aparat rządowy Pawelicza, obiekty władze na wielkim wyzwolonym terytorium. Miało to ogromne, zarówno polityczne jak i militarne znaczenie. W listopadzie 1942 r. na wyzwolonym terytorium, w Bichacu zwołano pierwsze Antyfaszystowskie Zgromadzenie Narodowe, które wyłoniło rząd i inne organa władzy Walewca Jugosławia położyła podwaliny pod nowe państwo ludowe.

Znaczenie tych wydarzeń można porównać z utworzeniem w pierwszym skrawku wyzwolonej ziemi polskiej PKWN-u i Manifestem 22 lipca 1944 r. Ogromny napływ ochotników na oswoobodzonych obszarze wzmościł siły armii ludowej i pozwolił ulepszyć i usprawnić organizację wojskową. Z brygad powstały dywizje i korpusy, silne jednostki operacyjne zdolne do przeprowadzenia działań na całym froncie jugosłowiańskim. Na obszarach wyzwolonych skoncentrowano główne siły. Centralne położenie, opanowanie masywu Gór Dynarskich, gdzie nieprzyjaciel nie mógł użyć swojej techniki, pozwalało organizować wypadły zarówno na odcinek Sawy jak i na wybrzeże adriatyckie. Grzbiet Gór Dynarskich stał się jak gdyby dźwignią strategiczną, łączącą siły antyfaszystowskie Słowenii z formacjami Czarnogóry i Serbii.

Pozycje okupanta w północnej części kraju zostały poważnie zagrożone. Niemiecka komunikacja w kierunku wybrzeża adriatyckiego i Włoch została od razu przerwana. A tedy szła nafta rumuńska do Włoch i Afryki północnej, gdzie alianci prowadzili ofensywę. Ofensywa Tita w kierunku morza Adriatyckiego jest więc jednocześnie wspaniałym przykładem koordynacji działań aliantów. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji Niemcy chcieli za wszelką cen zlikwidować „drugą front” na Bałkanach i w styczniu 1943 r. rozpoczęli największą czwartą ofensywę. W ofensywie tej wzięło udział: 6 dywizji niemieckich, 7 dywizji włoskich, wszystkie siły „ustaszów” — o raz 18 tys. „czelników” Michajłowicza, spędzonych tu z całego kraju. Plan niemiecki był prosty — okrążyć wyzwolone terytorium, siły partyzanckie zepchnąć w dolinę Neretwy i otoczyć wciąż zewzajem się pieścieniem, aby je „w kotł” zlikwidować.

Wobec ogromnej, zarówno liczebnej jak i technicznej przewagi nieprzyjaciela, Tito postanowił nie przyjmować walki wręcz, lecz grupę uderzeniową, złożoną z pięciu dywizji, przetrzeć się pierd do Czarnogóry, a potem dalej na wschód do Serbii, pozostawiając jednak na miejscu formacje, odpowiednio wyszkolone do dalszych działań w kierunku na Adriatyk. Ta operacja była najwspanialszym, ale też najtrudniejszym i najkierwawszym czynem bohaterów.

Wzięta walka, która trwała 37 dni. Grupa uderzeniowa Tita zlikwidowała najpierw dywizję włoską Murcia, zamykając obręcz w dolinie Neretwy od zachodu. Welko Korać, który brał w tej operacji udział, opowiadał o brawurym ataku na niezdobyta zdawałoby się, twierdzą górska, gdzie przebywał sztab dywizji. Pod osłoną huraganowego ostrzału dwa bataliony Tita przepłynęły się niespodzianie na drugi brzeg Neretwy, z granatami w ręku wtargnęli do twierdzy, wysadzili w powietrze składy prochu i zmusili przerażony, liczebnie dziesięciokrotnie większy sztab włoskiej dywizji do poddania się. Włoski generał, dowódca garnizonu, płakał z wściekłości i usiłował popełnić samobójstwo. W ręce partyzantów dostały się ogromne trofea, ale dalsze losy bitwy były dla nich mniej szczęśliwe. Pierwsze próby przedarcia nie udały się.

Niemcy rzucili do walki nowe górskie dywizje, odparli wojska jugosłowiańskie i otoczyli w dolinie Neretwy. Sytuacja wydawała się bez wyjścia. Wzburzone fale Neretwy, oblodzone stoki gór nie do przebycia, a dookoła nieprzyjacielskie dywizje. Niemcy triumfowali. Partyzanci znaleźli się w kotł — zagłada głównych ich sił była nieunikniona. Tak się przy najmniej wydawało i taki los spotkałby zapewne każde „zwykłe” wojsko. Ale wojsko Tita to nie było „zwykłe” wojsko. To byli ludzie gotowi na wszystko — nie znali słowa „niemożliwe”. Była to armia bohaterów.

Tito dał rozkaz, aby zniszczone jedyny most na Neretwie, będący w rękach partyzantów. Nieprzyjaciel był przekonany, że Jugosłowianie będą się próbować przedrzeć w innym miejscu i odpowiednio przegrupować siły. Tymczasem, pod osłoną nocy, Tito od-

budował zniszczony most, przetrucił główne siły na drugą stronę rzeki, niespodzianie zaatakował nieprzyjaciela w najsłabszym punkcie, przerwał front i przebił się do Czarnogóry.

Partyzanci nie tylko sforsowali oblodzone łańcuchy gór, które w zimie wydawały się nie do przebycia, ale przenieśli na rękach cztery tysiące rannych, nie chcąc ich pozostawić na łasce wroga. Przedarcie się było bardzo uciążliwe, wielu ludzi zginęło nie od kul nieprzyjaciela, ale po prostu z wycieńczenia. Zadanie wykonano.

Zaledwie jednak Jugosłowianie skoncentrowali swe siły w Czarnogórze, Niemcy niespodzianie przetrucili samochodami poważne siły — kilka dywizji. Rozpoczęła nowa, piątą ofensywę i znowu otoczyli wojska jugosłowiańskie. Sytuacja wydawała się tak beznadziejna, że angielski doradca wojskowy pułkownik Dicken, namawiał Tita do poddania się, uważając walkę za bezsensowny akt rozpacz. Ale Tito nie usłuchał swego doradcy. Włrew wszelkim zasadom strategii przebił się, jeszcze raz rozgromił nieprzyjaciela i uratował główne siły, ponosząc bardzo duże straty. Jedną dywizję czarnogórską, której przypadło zadanie głównego natarcia na wroga, aby umożliwić pozostałym przedarcie się, została doszczętnie rozbita. Sytuacja wojsk jugosłowiańskich była tragiczna. Ludzie nie jedli 8—10 dni. Mroz był straszliwy. Był to najtrudniejszy okres w dziejach jugosłowiańskiej partyzantki. W jakiś czas potem, gdy kapitulowały Włochy, wojska jugosłowiańskie wywoliły trzy czwarte kraju Z dywizji i korpusów powstały wielkie armie, które w 1944 r. z Armii Czerwoną zajęły Belgrad i wyzwoliły cały kraj.

Nie sposób zrozumieć tego, co się dzieje w Nowej Jugosławii, jeśli się nie zna bohaterskiej historii lat 1941—1944. Formy nowego jej życia wykute zostały właśnie w okresie wojny partyzanckiej. Weźmy np. najbardziej zdumiewające w dzisiejszej Jugosławii — braterstwo narodów. Przed 1941 r. nienawiść i walka pomiędzy Serbami, Chorwatami i Muzułmanami była najbardziej charakterystycznym rysem tego państwa. W czasie okupacji najędziej starali się sprzeciwić narodowościowe podziały i wygrywała dla wasnych celów Jugosławia stała się krajem rzezi i bratobójczych mordów. A dziś, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ustały nienawiści, waśnie i spory. Największy sukces Jugosławii to właśnie wspaniałe rozwiązanie zagadnienia narodowościowego. Jej narody w braterskim sojuszu prześcigają się w pracy dla wspólnej ojczyzny. Te jednostki, która wykulała się w pojedynkę, która wykulała się w cementowała coraz mocniej wspólna walka przeciw wspólnemu wrogowi.

Historia lat 1941—1944 tłumaczy również, dlaczego jugosłowiańska partia komunistyczna cieszy się w kraju dużym autoritetem. Była to jedyna partia, która w najcięższym i najtrudniejszym dla narodu okresie skupiła wszystkich, co chcieli walczyć z wrogiem, zorganizowała walkę, kierowała nią, prowadząc lud do zwycięstwa.

Nie trzeba również zapominać, że sztab główny z Titem na czele przez czas dłuższy pełnił także funkcje politycznego kierownictwa, że zreby nowej państwowości zrodziły się podczas wojny. Od tej sprawności, dyscypliny i organizacji zależało życie narodu. Tych, co zrają dzieje walk partyzanckich, nie może zdziwić już fakt, że ludzie, którzy potrafili się przebić przez oblodzone góry i pierścienie wojsk nieprzyjacielskich w dolinie Neretwy, potrafia pokonać wszystkie trudności i w ciągu pięciu lat zmienić oblicze kraju i dusze ludzi.

Jak niepoważne wydaje się straszenie tego narodu szantażem dolarowym czy bombą atomową Ludozie, którzy tresie i formy swego nowego wspaniałego zycia czerpią z doświadczeń nastraszniejszej i najbardziej nieubłaganej wojny, „jaka zna historia, z doświadczeń tych czerpią również głęboką wiarę w swoje siły i w pewne zwycięstwo.

Wacław Bielecki



Przeprawa przez rzekę

Engelbrecht i Hanighen

## HANDLARZE ŚMIERCY

Rewelacje amerykańskich autorów o kulcach i historii przemysłu zbrojeniowego

Wydanie ilustrowane

str 380

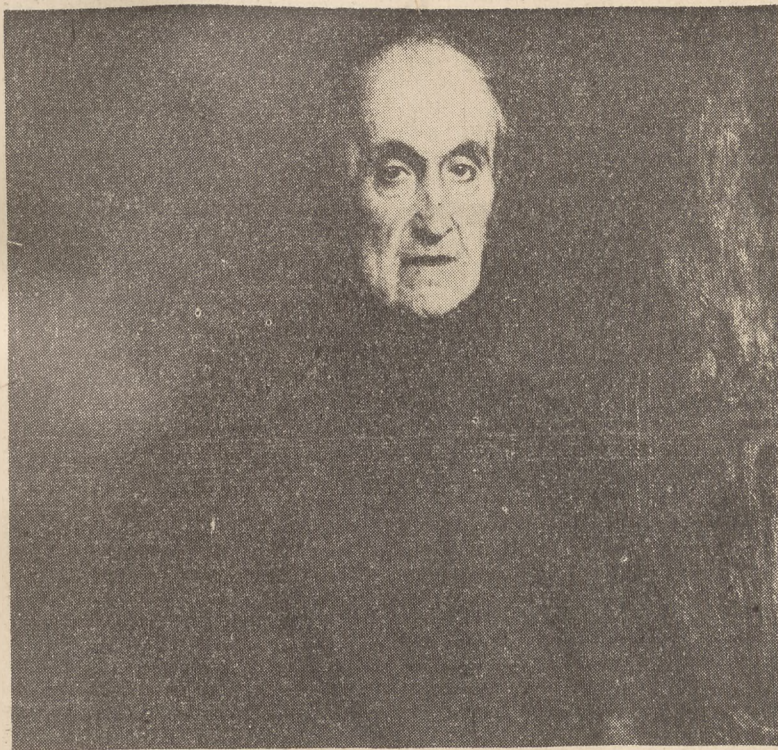
zł 400

WYDAWNICTWO PRASA WOJSKOWA



MIECZYSLAW JASTRUN

# TUŁACTWO



Adam Jerzy Czartoryski

Emigranci polscy zostali przez rząd francuski rozmieszczeni przeważnie na prowincji, w okęgach zwanych d $\acute{e}$ potis. Pozostawiono im te organizacje, która przetrwała ich do kraju cudzego — wojskowa. Dość znaczna liczba wychodźców znalazła schronienie w Paryżu. Już w dniu 6 listopada 1831 roku zwołano utworzyć Komitet Narodowy Polski Tymczasowy, któremu przewodniczył ostatni prezes Rządu Narodowego — Bonawentura Niemojowski. Komitet ten krótki miał żywot. Niemojowski, obawiając się ingerencji rządu francuskiego, odrzucił propozycję generała Lafayette'a urządzenia obchodu rocznicy powstania wspólnie z francuskimi radykałami i sympatykami Polski.

Odmowa Niemojowskiego obrzuciła emigrantów. Jeszcze bołali ich świeże rany, jeszcze duch wolności nie odszedł od nich, jeszcze wierzyli w rychłą rewolucję światową.

Zawiązana 8 grudnia nowa organizacja pod nazwą Komitetu Narodowego Polskiego powierzyła prezesurę Jóhannowi Lelewelowi.

Lelewel należał do tych republikanów którzy łączyli sprawę polską nierozdzielnie ze sprawą przyszłej Europy ludowej. Widział on nie tylko wśród emigrantów, lecz poprzez całą Europę przebiegającą linię podziału. Despotyzmowi gabinetów przeciwstawił ideę wolności. Europie przywilejów feudalnych — Europę ludów. Zarzucano mu, że niepodległość polską utopił we krwi wypadków w nocy 15 sierpnia. Lelewel bronił się, ale bronił się słabo. „Jak Kassandra — mówił — upadek Troi przepowiedała, nie wierzone jej, a przecież upadek się ziścił. Tak moje jasnowidzenie było. To moja wina. Rozumiałem, że nie będzie partyj, wszakże knowano pokątnie. Zawsze moja myśl była, aby podać sobie ręce i gonić do jednego celu...”

Warszawa-Troja padła. Nie trzeba było być Kassandrą, by przewidzieć dalsze losy narodu. Trzeba było być zdecydowanym. Decyzji, woli, niezłomności — oto czego brakowało Lelewelowi. To, co przeciwstawił mu książę Czartoryski — było stałe i chytrzejsze stołkroć w pryncypjach i zamiarach.

Książę nie przeczył na pozór wielkiemu ruchowi wolnościowemu, który szedł przez Europę. Przeciwnością się jednak wszelkiej myśli o czynie rewolucyjnym. Wierzył, czy udawał, że wierzy w ewolucję demokratyczną, której rzekomo ulec musza gabinety państw europejskich. Sprawę wolności ludów i niepodległości Polski uzależniał od dalszej woli rządów despotycznych, od ich powolnego przesiąkania ideami demokratycznymi. — Nie należy — gosił — obalać tych rządów, gdyż one same staną się przychylniejsze sprawie ludów przez zmianę tek ministerialnych. Czy pochwałal Kongres Wiedeński? Nie, nazbyt niepopularny był w sferach uchodźców ów kongres „amfitryonów Europy”; wstępując jednak na drogę dyplomatycznych zabiegów, książę musiał powoływać się na Kongres Wiedeński, którego gwarantami były Francja i Anglia.

Czartoryski był konsekwentniejszy od Lelewela, który wyznając republikańskie zasady ulegał w praktyce zapędowi solidarystycznemu — on „roznożył i patron rewolucyjnym przekonaniom” mówiąc słowami Mochackiego. Ale i Mochacki, pozornie najczwierszy z emigrantów, ów retor, zdawałoby się, zawsze dzierżący żagiew płonącej rewolucji, gdy szło o przyszły losy szlachty — cofał się w polowie drogi. Podobnie jak książę Czartoryski wierzył w stopniowe umoralnienie gabinetów, tak ów „przeche-

ra”, ów płomienny jakobin pozostał sprawę wyzwolenia chłopów dobrej i, jak mniemał, koniecznej woli narodu szlacheckiego. Jakże mogło być inaczej, jeśli Mochacki nazywał „element szlachecki oddechającym powietrzem naszego kraju”.

Ta metafora o oddychalnym powietrzu Polski nie była rzucona w próżnię. W latach powojennych emigracja żyła nadzieją bliskiego przewrotu i łącząc z rewolucją swoje marzenia o wolnym państwie polskim, nie mogła w debatach i kłótniach pominąć sprawy przyszłego ustroju w ojczyźnie. Ewangeliczne stanowisko Mickiewicza w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego”: „Nie badajcie, jaki będzie rząd w Polsce, dajcie wam wiedzieć, iż będzie lepszy niż wszystkie, o których wiecie” — nie mogło być przecież brane serio w praktyce politycznej, która wymaga ściślej określić i konkretnego działania.

Francja w czasie, o którym tu mowa, wchodziła w nowy okres stabilizacji rządów mieszczzańskich; rewolucja fiębowa zawiadła nadzieję ludu francuskiego, ale ruch opozycyjny musiał zejść do podziemia. Związki węglarskie, tropione przez policję jawną i tajną, w „wentach” kuły broń, gromadziły dynamit. Burżuazja, która po trupach robotników paryskich doszła do władzy, nie czuła się bezpieczna w swoich pałacach i urzędach. Związki węglarskie miały również wśród emigrantów polskich, zwłaszcza studentów uniwersytetu, dość licznych zwolenników. Policja francuska, śledząca pilnie węglarzy roztoczyła nadzór również nad wychodźcami polskimi, którzy z tych czy innych względów mogli budzić podejrzenie o kontakty lub uczestnictwo w owych przesiadkowanych związkach. Na ulicy Taranne, gdzie w jednym z mało pokątnych domów zbierały się swarliwe i krzykliwe frakcje emigracyjne, można było dostrzec w żółtym świetle latarn gazowych sterzących w bramach lub przechadzających się w pojedynkę szpiclów z podniesionymi u palt kolnierza-

mi. Rząd francuski, pod naciskiem opinii publicznej, z którą ówczesne gabinety liczyły się poważnie, udzieliwszy wygnancom polskim azylu, teraz przerażony wrzosem wewnętrznym we własnym kraju, chciał za wszelką cenę pozbyć się tej burzliwej gromady wychodźców, których wszystkie wysiłki musiały zmierzać do obalenia ustrojów, opartych na despotyzmie. Kiedy namowy do przyjęcia amnestii carskiej nie odniosły dość szerokiego skutku, rząd usiłował zastosować starą wypróbowaną w stosunku do Polaków metodę: obiecał stworzyć legion polski w Algierze lub na Madagaskarze. Jak dzieciom, które dorosli chcą „przekupić” obietnicą zabawek, zamiganano przed oczami wygnañców barwami narodowymi i ufańskimi proporcjami. Znalezli się ochotnicy. Były również projekty przesiedlenia części wychodźstwa do Ameryki, ale odległość tego kraju przerażała wygnañców. W Paryżu czuli się bliżej ojczyzny, a więc także bliżej powrotu. Wśród zgłębku i gwaru ulic paryskich uszy ich styzały już loskot nadchodzącej burzy rewolucyjnej.

Wiare w jej bliski wybuch powiększały zarządzenia francuskiego ministra spraw wewnętrznych Thiersa. Na skutek wydanej przez komitet lelewelowski odezwy do Rosjan, członkowie komitetu otrzymali rozkaz opuszczenia Paryża. Odezwa, którą emisariusze komitetu kolportowali w kraju, wzywała do oporu przeciw samodziemwu. Przypominała o przynierzu ludów, pragnących wolności. Klęska powstania 30 roku była zarazem klę-

ką ludu rosyjskiego. „Wśród zajętej walki, wśród przerażającego huk u dział, z trudnością mógł się głos powstającego bratniego narodu przedrzeć do was... Przypominają go wam tułacze polskiego narodu, co uchodząc przed niewolą, po świecie się rozbiegli i stali się przestroją dla ludów, braterską zawiścią rozwojonych”. Odezwa ta, tak płomiennym językiem napisana, pełna charakterystycznych dla ówczesnej mitologii rewolucyjnej zwrotów, trafiła, obok różnych broszur nielegalnych, do rąk oficerów rosyjskich. Była oliwą do ognia rosyjskiego ruchu podziemnego, który po klęsce dekabrystów odradzał się w nowych formach, by zapłodnić później wolę rewolucyjną Herzena.

Tymczasem do Galicji przedzielali się liczni emigranci, żołnierze 30 roku. Nieudana wyprawa Zaliwskiego nie osłabiła nadziei wygnañców mimo że obnażyła brutalny egoizm szlachty kongresowej, która nie tylko nie poparła powstańców ale niekiedy nawet wydawała ich w ręce wrogów.

Te próby i wypadki garstki ludzi gotowych na wszystko nie miały najmniejszych widoków powodzenia. Manifestacje robotnicze o charakterze lokalnym, jak na przykład zaburzenia we Frankfurcie nad Menem w początkach 1833 roku, były dla nich znakiem, który rozrastał się w ich wyobraźni do luny nad Europą.

Tak zwany Frankfurter Krawal zrobił zresztą wszędzie wielkie wrażenie. Wieść gosiła, że z Bawarii idzie sześć tysięcy zbuntowanych żołnierzy na Frankfurt, że burszenszafy we wszystkich miastach uniwersyteckich mają broń i czekają tylko na hasło. Wśród garstki młodzieży, która uderzyła na odwach ratuszowy, byli również Polacy. Widziano ich walczących zaciekle, w czerwonych rogatywkach, przypartych przez przeważającą siłę. Powstanie we Frankfurcie zostało stłumione. Metternich triumfował.

Nie mogły również dać rezultatu wybuchające raz po raz nieprześlądane próby wzniecenia walki orężnej, które podejmowali na własną rękę oficerowie polscy, uczestnicy powstania listopadowego, skazani przez własny temperament i nieubłąganą ironię historii na tę beznadziejną partyzantkę.



Klaudyna Potocka według współczesnej ryciny

Cóż znaczyła wyprawa kilkuset wychodźców, którzy pod wodzą pułkownika Oborskiego przekroczyli granicę Szwajcarii w Saigie L $\acute{e}$ gier, w kantonie berniejskim?

Te próby, szkodliwe raczej dla sprawy polskiej, ocenia Mickiewicz z prawdziwą trzeźwością polityczną, która w momentach działania nie opuszcza go nigdy, podobnie jak pamięć realiów towarzyszy zawsze jego najbardziej fantastycznym pomysłom poetyckim.

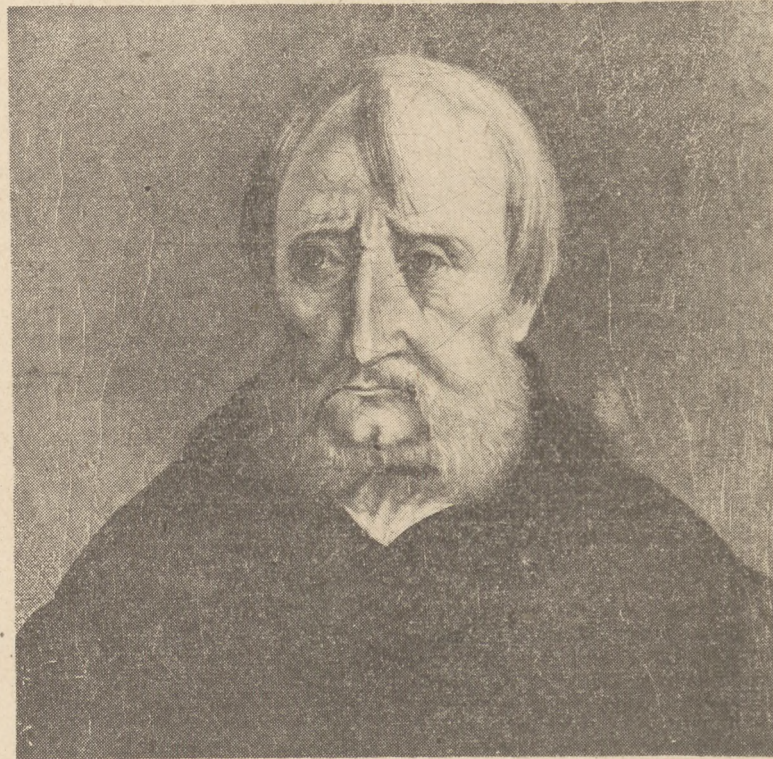
W odezwie, wydanej 29 listopada 1833 roku, którą podpisał wspólnie z Bohdanem i Józefem Zaleskimi, Domeyką i Różyckim, czytamy ostrzeżenie przed nieprześlądanymi i nieprzygotowanymi należycie ruchami. Konrad, skoro tylko zejdzie ze sceny, na której dopadają się wśród nocy światła świec, na bruk i poczujcie jego twarde pod nogami, jak Anteus odzyskuje łączność z ziemią. Nie otacza go już noc bezimienna, ale noc Paryża, miasta umiejscowionego w przestrzeni, w czasie i w konkretnej sytuacji politycznej. „Zjazdy w Czechach i znowy trzech ukoronowanych rozbojników — piszą autorzy odezwy — tyczyły się głównie Polski... Ochrońcie kraj od cząstkowych powstań, które miałyby przybliżyć, oddalają utęskniony dzień narodowego wesela”.

Mickiewicz rozumie już wtedy, że sprawa Polski związana jest najściślej ze sprawą rewolucji powszechnej, z powstaniem ludów. Wierzy że duch tego czasu jest w masach ludowych Europy. „Gdyby badacze — pisze w artykule „O dążeniu ludów Europy” — mieli cokolwiek pokory politycznej i chcieli uważać, co się kolo nich dzieje, gdyby zbierali i sumowali rozmowy ludu, wołania jego, modlitwy jego, może by się więcej nauczyli, niż w ksiązkach i gazetach. Głosy wyrzuwające się z ust ludu, na różnych punktach są wielką petycją, którą duch czasu zanosi z pokorą i składa przed progiem gabinetów, izb i szkół, nim uderzy na nie kamieniami, z bruku i bagnietami. Przed wybuchem wulkanu dosyć jest aważać kł $\acute{e}$ tr wody w studniach, dym w szparach gór, aby przewidzieć niebezpieczeństwo; biada tym, którzy wntczas zasiają czytać teorią wulkanów!”

Artykuły „Pielgrzym” w stosunku do powstałych wcześniej przypowieści „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego” mają akcenty jaśniejsze, wyrazistsze pod względem sensu politycznego. Nie dlatego, że są to artykuły polityczne. Często bywa tak, że im czystsza ideologia artystyczna, tym klarowniejsza jest myśl polityczna i społeczna pisarza. Ustęp III części „Dziadów” w całej swej piękności, nowatorstwo i rzetelność poetyckiej nie pozostawia pola dla dwuznacznej interpretacji obywatelskiej myśli poety. Artykuły „Pielgrzym” od „Ksiąg pielgrzymstwa” dzieli czas rozmyślań i doświadczeń, które czynią myśl poety dojrzałszą, a więc jaśniejszą. Nie było jego winą, że późniejsze lata przyniosą odstępstwa od tej drogi. Mistycyzm Mickiewicza nie jest kaprysem jego wyobraźni, nie jest wynikiem jego słabości. Fantasmagoria, która zaczynając niewinnie od Anioła Ślązaka i Saint-Martina wyrośnie w posępne drzewo towarzyszczyzny, długo jeszcze korzeniami szuka zdrowego gruntu i nie mogąc go znaleźć, zawisa wreszcie w powietrzu.

Mickiewicz buntuje się przeciw nocy, która go otacza, ale warunki wychodźstwa, ale nieszczesna sytuacja kraju skazują go na ten boleśnie odczuwany spłot niekonsekwencji, na szamotanie się ustaw-

W roku bieżącym przypada sto pięćdziesiąta rocznica urodzin Adama Mickiewicza. W związku z rokiem mickiewiczowskim w „Odrodzeniu” ukaże się szereg prac, dotyczących Wielkiego Poety. W numerze dziesiątym zamieszczamy fragment opowieści o Mickiewiczu Mieczysławu Jastruna. Pierwszy fragment tej opowieści opublikowało „Odrodzenie” w numerze 158, dalsze ukażą się w ciągu bieżącego roku.



Joachim Lelewel. Obraz nieznanego malarza polskiego.

Stronictwa polityczne emigracji nie mogły być zbudowane „Księgami narodu i pielgrzymstwa”. Styl tych ksiąg, mimo podobieństwa do publicystycznego języka dzienników tułactwa, był przecież czymś obcym nawet w tej epoce, która lubowała się w przenośniach. Ale te przenośnie nie były całkowicie przetłumaczalne, czy raczej nie należało ich przekładać dosłownie na mowę zwyczajną, podobnie jak trudno byłoby z sensem przełożyć na tę mowę język proroków. Przenośnie te jednak prowokowały, ich wyrazistość w sferze pojęć była bodaj nie mniejsza od plastyki widzeń III części „Dziadów”.

Tłumaczono też ich treść mistyczną — proroczą na język doktryn politycznych. Czyniono słusznie, gdyż „Księgi” nie były trawestacją biblii; w rodzaju na przykład cyklu biblijnych wizyj Rembrandta. Był w kadencji ich zdań światłości okresów biblijnych, w kadnodziejstwie ich były figury retoryczne z „Ksiąg rodzaju” czy z „Ksiąg proroków”, ale utwór ten chciał mówić i mówił coś o wiele bliższego, konkretniejszego. „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego” zahaczały raz po raz o sprawę nie tylko wygnañców, ich życia i roli, jaką mają odegrać wśród cudzoziemców, ocierały się o wielkie zagadnienia polityki bieżącej ówczesnych gabinetów. Europę miały za tło, systemy jej rządów i jej filozofów nicowały z gwałtownym okrucieństwem moralistycznym, który nie zna przeszłość, bo nie chce widzieć warunków, zaprzecza oczywistym faktom życia społecznego, zrywa związki między moralnością a wypadkami, które tę moralność kształtują.

W „Dziadów” części III ziemski porządek moralny ukazany jest również w bezpośredniej przenośni: ściąganie na ziemię nieba dla zaświadczania o straszliwości zbrodni ludzkiej i pięknie moralnym wypracowań otrzymało tu kształt poetycki tak skończony, że od razu zostajemy przeniesieni w sferę, w której nie żądamy dowodów, nie badamy, w jakim stopniu wierny był poeta faktom. Podobnie wierzymy w zaświaty Danta. Jeśli „Boska komedia” przenosi porządek ziemski w sferę piekielne i niebieskie — w przeciwieństwie do „Dziadów”, które traktują oboje światy: ziemski i widmowy — równolegle, „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego” na język biblii tłumacza współczesne fakty polityczne i społeczne. Jest coś zdumiewającego, że ta szczególna publicystyka biblijna czy ewangelia publicystyczna znalazła licznych wyznawców. Tylko w wieku dziewiętnastym, w wieku ogromnych przeciwieństw i sprzeczności, mogli znaleźć się ludzie, którzy „Księgi” czytali jak ewangelie czytają wierzący. To prawda, że naiwność ich nie była większa niż tych ludzi renesansu, którzy widząc w obrazach mistrzów portrety przysięgł $\acute{e}$  swoich, żony swe i kochanki w rolach postaci z ewangelii, pomimo to wierzyli w autentyczność tych nazbyt ziemskich przenośni. Forma przypowieści biblijnych nie raziła uszu wygnañców polskich, którzy — jak zawsze ludzie boleśnie doświadczeni — skłonni byli wierzyć w posłannictwo swoje, by nadać sens jakiś cierpieniu. Poryw, który unosił w sferę religij $\acute{e}$  proste i nieubłagane fakty polityczne podobny do tego, który w legendach unosił świętych nad padł $\acute{e}$  ziemski, ten sam poryw, wzdymający sutanny księdza Lamennais i księdza Choleńskiego, zrodził się niewątpliwie z wielkiej tęsknoty do reformy moralnej. Z tego samego źródła płynęły niegdys wszelkie herezje. Ale nie była to już pora na zjawienie się nowego Lutra, Husa czy Zwingliego. Grzegorz XVI, ów obrońca despotyzmu, ów pa-

piez, który potępił powstanie listopadowe, każąc narodowi polskiemu modlić się, wierzyć i być posłusznym carowi, nie miał już w ręku karzącego miecza Inkwizycji.

Dlatego musiał pozostać na potępieniu „Paroles d'un croyant” księdza Lamennais i „Ksiąg pielgrzymstwa i narodu polskiego”, które nazwał raczył „pismem pełnym zachwalstwa i przewrotności”. Breve papieskie do biskupa diecezji Rennes nie mogło mieć poważniejszego znaczenia w sferze praktycznej. Potwierdzało jedynie raz jeszcze oportunizm kościoła oficjalnego, który teraz jawnie wysługiwał się rządowi despotycznemu Europy i Azji, paktował otwarcie i bezwstydnie z „kupcami i handlarzami”, z burżuazją i artystokracją Francji, Włoch i Anglii.

Rok 1832 jest w życiu Mickiewicza czasem szczególnie doniosłym. W połowie listopada tego roku wyszła w druku „Dziadów” część III, a 4 grudnia ukazały się „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego”. Mickiewicz osiągnąwszy szczyt uniesienia twórczego w „Dziadach” dredeńskich nie mógł utrzymać się na nim, to jasne, ale ci, którzy na kłęczkach czytali jego poemat, jak Bohdan Zaleski i garść innych znajomych i nieznajomych, będą go w roli proroka przemocą utrzymywali, nie dając mu już bodaj do zgonu zejść z tej skały, na której jak Mojżesz na Synaju rozmawiał z Panem Mickiewicz wchodził, zapewne mimo woli i chęci, na tę stromą drogę, na której potknął się łatwo, gdzie każde poślizgnięcie grozi śmiesznością, gdzie normalne ludzkie sprawy nabierają nazbyt oświadczonego znaczenia. Zapewne, wygnañcy są ludźmi chorymi. Chorobie tej, nieuchwytej atmosfery, co otacza poetę w strefie zakaźnej, która jest obóz polskiej emigracji w Paryżu, ulega Mickiewicz powoli; być może „Pan Tadeusz” był bezwiednym protestem przeciw tym gestom proroczym, które wprawiano mu usilnie i na każdym kroku. „Nie nazywajcie mnie, proszę, nauczycielem; jest to tytuł straszny i ciężki na moje barki. Serce wasze potrzebuje kochać i szuka doskonałości, więc ubieracie w doskonałość bliźnich waszych, złoćąc ich, zdojąc promieniami. Strzeżcie się tego!”

Mickiewicz nie żył na pustyni i nie prorokował skalom. Uwikłany w kłopotach materialnych, zazwyczaj bez franka w kieszeni, ów prorok polski czuł ciężar posłannictwa, które mu narzucili ludzie chorzy i nieszczęśliwi. Epilog do „Pana Tadeusza” mówi o tych sprawach dość jawnie. Mickiewicz broni się jeszcze przed tą trudną i smutną rolą, ale zdaje się już ulegać potęgającej przez siebie apokaliptycznej emigracji.

Tylko sytuacja wyjątkowa pielgrzymstwa tłumaczy coś niecoś z tego zjawiska.

Sainte-Beuve pisząc o „Księgach” w „Le National”, z poczuciem właściwego Francuzom humoru, żądał od liberałów i republikanów, by wyobrazili sobie na chwilę, że są Irlandczykami lub Polakami. Nie zrozumienia dla sprawy polskiej w owym czasie jest w tych słowach cudzoziemskiego pisarza!

Widzieliśmy, jak od politycznego paszkwilu polskiej „Boskiej komedii” poprzez publicystykę szukającą ujścia w stylu biblijnym „Ksiąg”, wiodła prosta droga do artykułów publicystycznych w „Pielgrzymie”. Pismo to w pierwszych dniach listopada 1832 roku zaczął wydawać Eustachy Januszkie-  
Idea Polski przyjmuje tu kształt konkretniejszy, niemniej jednak utopijny.

Mickiewicz marzy o ukonstytuowaniu się emigracyjnego sejmu w

2) List do Kajsiewicza i Rettla.



Koncilium Europejskie, które stworzyło zasady, mające służyć za podstawy wolności ludów. On sam polski miałby reprezentować wole ludów — miałby naradzać się z deputowanymi każdego narodu, który po zgnieciu despotyzmu objąłby władzę we własnym kraju.

Trudno o bardziej niefortunną i pozbawioną zmysłu realnego koncepcję Kłótlia emigracja, złożona w dużej części z rozbitków feudalnego ustroju, drobna szlachta rzucona na obcą ziemię, gdzie władza była w rękach burżuazji, miała reformować Europę i ustanawiać prawa wolności Mickiewicz przecenił wartość moralną wygnanców i przyzywał ocy na ich zafowanie. Ale pomimo to, zarówno przez „Księgi pielgrzymstwa” jak i przez artykuły „Pielgrzym” szedł wicher wolności, była w nich groźba dla rządów Europy. „Rządy francuscy i mędrkowie francuscy, którzy gadacie o Wolności, a służycie despotyzmowi, legniecie między ludem waszym i despotyzmem obcym jako szyna żelaza zimnego między młotem i kowadłem”....Przyjdą dni, iż będziecie liżać złoto wasze i żuć papier wasz, a nikt wam nie przysię chleba i wody”.

Było także proroctwo straszliwe i pocieszające: „...z wielkiej budowy politycznej europejskiej nie zostanie kamień na kamieniu”.

W emigrantach polskich wzbudziło dość żołąć i słusznego gniewu przeciw obcej władzy i uciskowi pieniądza, dlatego przyjmowali te apokaliptyczne proroctwa z radością i uznaniem. Kompensowały one poczucie niższości wobec Francuzów czy Anglików, przybliżały dzień wyzwolenia, dzień powrotu.

To nic, że w Polsce nawet wolnej, ale innej niż ta, do której lgnęli wszystkimi marzeniami swymi i całą pamięcią, nie czuli się równie dobrze, zwłaszcza po jakimś czasie, że może we wspomnieniach wyblekitniałyby ponure kamienie Nowej Sody, gdzie żył w ubóstwie wygnanym. Mieliby prawo buntować się przeciw przemocy i niesprawiedliwości, przeciw władzy pieniądza i władzy paszportu. To prawda, że mało było wśród nich ludzi rozsądnych. Nie lubili myśleć. Niestety, dzieła w rodzaju „Ksiąg pielgrzymstwa” rozgrzeszały ich zupełnie z tej smutnej właściwości.

Prasa demokratyczna odgrodziła się ostro od tonu „Ksiąg”. Adam Gurowski, ów słynny z radykalizmu czerwony hrabia, uderzał z właściwą sobie gwałtownością w „ascetyzm umysłowy”, głoszący przez Mickiewicza. Rozwój nauk uważał za główną cechę wieku, dowodził wreszcie, że „ostatnie nasze powstanie nie zniszczało dla braku poświęceń lub środków materialnych, ale upadło brakiem ogólnego rozsądku, wykazującego potrzebę momentu, w jakim byliśmy”.

Gdy tak atakowano Mickiewicza z lewego skrzydła emigracji, gdy prawica wypominała mu znowu radykalizm — zarzutem tym dziwić się nie należy, gdyż anarchistyczna postawa poety prowokowała partie polityczne, które nie mogły pochłaniać chaosu — salony ubolewały nad zejściem Mickiewicza do owego czystości publicystyki i dziennikarstwa, co wydawało się jedynym zniesieniem lotu, inni, bardziej świadomi, lękali się nadmiernej zaangażowania się poety w sprawy, za którymi słycać już było tupot nóg wielu tysięcy głodnych i wystrząsanych karabinierów orleańskich i włoskich.

Tymczasem udział Mickiewicza z równo w redagowaniu „Pielgrzymstwa Polskiego”, jak w posiedzeniach przy ulicy de l'Université nr 45, gdzie mieściło się Towarzystwo Pomocy Naukowej, czy w pracach Towarzystwa Literackiego, był dla niego dopełnieniem koniecznym, był długim spianczeniem zbyt zachłannej współczesności, która domagała się nie tylko słów, ale również działania. Mickiewicz wierzył w „potęgę działania”, szukał dla swojej poezji usprawiedliwienia w czynie, jak gdyby czynem nie była jego poezja. Tylko tym trapiącym go ustawicznie głodem działania bezpośredniego można wyjaśnić młotanie się poety, jego ciągłe odchodzenie od poezji, która była żywiołem jego, od samotności, bez której pisać nie mógł i nie umiał. Na sześć lat przed rozpoczęciem wykładów o literaturach słowiańskich przystępuje do zawiązania Towarzystwa Słowiańskiego. W roku 1833 kończy pisaną po francusku „Historię przyszłości”, w której przepowiada — podobnie jak Byron w poemacie „Ciemięta” — ostateczne zdziwienie ludzkości w tej samej księdze pełnej apokaliptycznych wizji, jakay wyprowadza marzenia Verne'a i Wellsa, pisze o przyszłych wynalazkach, z powodzeniem, choć nie bez naiwnych pomysłów, przewidując wiele z dzisiejszych cudów techniki.

Niekopki nurtujący go nieustannie, odbija się w jego pracach, nie w ich kształcie ostatecznym, który jest zawsze spokojny spokojem doskonałości, lecz w pragnieniu zagarnięcia zbyt wielkich i różnych obszarów i rodzajów.

Kończąc przekład „Gaura” i pisząc „Pana Tadeusza”, planuje równocześnie dalsze części „Dziadów”, luźne sceny rzucając, po to,

by je później niszczyć. Powtorzy się to kilkakrotnie — po ostatnim lata poety.

O jego życiu erotycznym w tym czasie nie wiemy nic, być może było ono stłumione w rozterce i rozgardiaszu, w napięciach twórczości gwałtownych i w bolesnych jej odpływach. Wiemy natomiast o rosnącej przyjaźni do Stefana Garczyńskiego, szlachetnego, zdaje się, młodzieńca, lecz średniego poety. Garczyński, obłożnie chory na gruźlicę, przebywał w Dreźnie, później przeniesiony zostaje do Bex w Szwajcarii, niedaleko Lozany, gdzie chce ratować swoje poszarpane płuca. Garczyński był jedną z ofiar powstania listopadowego, gdyby nie udział w kampanii, byłby prawdopodobnie nie wpadł w nieuleczalną chorobę.

W przyjaźni Mickiewicza dla młodego poety w gotowości służenia mu, widzimy jeden z przejawów owej żarliwej chęci umniejszenia własnej winy, winy powstrzymania się od udziału w rewolucji listopadowej. On, tak niecierpliwy, szorstki, niezdolny do czynienia dobrze, gdyż zbyt dobrze pisał, oderwany od spraw praktycznych bardziej, niżby się może wydawało tym, którzy widzą go naraz ze wszystkich stron i czasów, on tak wymagający w stosunkach osobistych, raczej niesympatyczny w potocznym tego słowa znaczeniu, raczej niewdzięczny, jak owo „niedobre, nieczule dzieci”, spotyka się tutaj przy łóżku śmiertelnie chorego przyjaciela z prawdziwym „aniołem dobroci” — Klaudyną Potocką. „Ta kobieta godzi z rodzajem ludzkim i może natchnąć znowu wiarę w cnotę i w dobroć na ziemi. Zdaje się mi, że życia ma tylko na parę godzin, a przecie znajduje zawsze siły na służenie innym”<sup>3)</sup>.

Rzeczywiście niedugo już żyć miała. Umarła w Genewie po nieudanych próbach zalecenia śmiertelnej choroby płuca. Mickiewicz nie znajduje dla Klaudy żadnego porównania, tak wyjątkowa jest dobrze jej, naprawdę niezłomska. Jeśli słowo to wyrazić może cechę wyjątkową i niespotykaną. Patrząc na nią, słuchając jej słów, zdaje się marzyć o jakiejś doskonałej ludzkości na wyspie szczęśliwej. A jednak szlachetność hrabiny Potockiej nie była całkowicie wolna, gdyż nie ma na ziemi wolności od praw społeczeństwa. Klaudyna godziła się na swe życie — które poszłoby innymi drogami, gdyby nie przywilej, z którego korzystała. Owego przywileju feudalnego — pamiętał — nawet Marcelina Lempicka nie uważała za grzech. Moralność jest sprawą również naszych nawyków.

Klaudyna nie była piękna w potocznym znaczeniu, ale twarz jej zniewalała owym najszlachetniejszym typem piękności, który rzadko można spostrzec w kobietach żywych, częściej na obrazach dawnych mistrzów. „Dawid robi teraz posąg świętej Cecylii — pisał do pani Potockiej Mickiewicz po rozstaniu z nią — widząc portret pani niezmiernie żałuję, że nie może wedle postaci pani swego posągu modelować”.

Nikt z charakteru tej pięknej kobiety nie wziął miary na posąg. Minęła, i tylko słowa, które o niej rapisał w swych nie dbających o styl listach wielki poeta, pozostała.

Tymczasem w chwili w której waży się losy przyjaciela, Mickiewicz usiłuje zastąpić nieobecność świętej Cecylii przy łóżku chorego. „Od tygodnia jestem w Szwajcarii — pisze dnia 9 lipca 1833 roku do brata swego Franciszka — musiałem tu zjechać dla odwiedzenia Stefana Garczyńskiego, który bardzo słaby na zdrowiu, i siedząc między Alpami sam jeden, potrzebuję

3) List do Ignacego Domeyki.

3) List do Ignacego Domeyki.

owal towarzysza: dotąd opiekowała się nim pani Potocka! po jej wyjeździe ja zostanę przy nim” 2 sierpnia donosi Ignacemu Domeyki: „Jestemy od dwóch tygodni w Genewie. Stefan tak był słaby, że przez kilka godzin co dzień, patrzyliśmy na wszystkie symptomy konania. Teraz lepiej znacznie, ale ja przynajmniej nie mam żadnej nadziei”. I znowu powraca odwołująca się wciąż w listach z Paryża do Garczyńskiego sprawa

druku i korekt tego jego poezyl nad których drukiem czuwał Mickiewicz osobście, których opracowaniu poświęcił wiele czasu. On, tak nienawidzący zarówno przepisywania i korekt własnych utworów Wólcza w Paryżu, zajęty artykułami do „Pielgrzymy”, kończąc przekład „Gaura”, pisząc „Poema szlacheckie”, równocześnie niepokojony prz z wizję dalszych części „Dziadów” znajduje przecie, czas na poprawianie brulio-

now „Wacława” i wierszy Garczyńskiego. Z uznaniem pisze do przyjaciela o tych utworach. „Redutę Ordana”, napisaną na podstawie opowiadania Garczyńskiego, umieszcza na końcu tomu wierszy przyjaciela, by tym darem drogotocnym spłacić dług jemu, który walczył, i powstaniu, w którym on, autor „Wallenroda”, nie brał udziału. „Zmitł się — pisze do Domeyki — choćby dla uspokojenia Stefana każ wydrukować jego korekty choćby po kilka tylko egzemplarzy. Trzeba znać jego chorobę, żeby pojąć, ile on nad każdą omyłką rozpacza, jakie mnie robi wyrzuty i jakie dziwaczne ma podejrzenia. Dowiedział się, że egzemplarze są w Dreźnie i jedent u w Genewie. Stąd nowe żale i domysły; przysłił nam tu co rychlej kilka egzemplarzy. Oby się ta historia drukarska skończyła, z której miałem tyle biedy”.

Sytuacja Mickiewicza w tych miesiącach jest trudna i dwuznaczna. Wystawiona jest na próbę ciężką jego przyjaźń i ludzkość. Być może, iż nie zniósłby tego czuwania przy łóżku umierającego, gdyby ogromna wizja „Pana Tadeusza”, którego pisanie musiał przerwać, nie opanowała go tak całkowicie, że nawet patrząc na bladą wychudłą twarz Garczyńskiego nie mógł zamknąć uszu na muzykę cichą i pogodną rosnącego w nim poematu. Krajobrazy Szwajcarii układają mu się pod barwę i ton „poematu szlacheckiego”. „Gdybym miał wielkie summy — pisze z Bex do Odyńca — sprowadziłbym cię tu z Zosią; kupilibyśmy parę krow szwajcarskich i koguta, żeby pod oknem pięjąc Litwę nam przypominał; kupilibyśmy też gęsi i indyków etc.” Rzeczywiście była inna. Na łóżku hotelowym w Bex, w Genewie, w Avignonie w końcu, leżało powalone na to łożo boleści stygnące zwolna ciało uczestnika powstania, leżało powstanie samo. Mickiewicz nie czuje się równie zbyt dobrze; ten silny mężczyzna zapada raz po raz na zdrowiu, trapią go flukusy, jak to wówczas określano ból zębów, nie ma apetytu. Formalności paszportowe, ten barbarzyński wymysł „nowoczesnej kniei ludzkiej”, zabierają mu czas, psują na reszty samopoczucie. Może wycieczka górską pomogłaby mu radykalnie, przykuty jest jednak do łóżka chorego.

W Genewie prawie nie wychodzi z hotelu de l'Eu, gdzie się zatrzymał. Ironia historii sprawia, że niedaleko od jego mieszkania w uliczce, skąd widać jezioro Genewskie i odległy śnieżny szczyt Mont Blanc, w pensjonacie pani Patey, nie nie wiedząc o jego pobycie, Juliusz Słowacki pisze list do matki. Jest rano 23 sierpnia. „Najukochaniana Matko moja! Oto dzień moich urodzin. O Matko, w tym roku 25-ty. Jak ten czas płynął! Bukiet, dany mi na wiananie, stoi przede mną. W głębi jednej róży spój spokojnie zielony żuk; zdaje mi się, że on ma teraz los, podobny do mnie, który spoczywam cicho w głębi pięknego szwajcarskiego ogrodu”.

Dziś nie ma już śladu po pensjonacie pani Patey. W uliczce zabudowanej szalenie stoją nowe domy. Na jednym z nich tablicą z napisem francuskim: „Ceci s'élevait la maison ou 1833 — 1836 a vécu Jules Słowacki grand poète polonais.” Stan zdrowia Stefana Garczyńskiego pogarsza się jeszcze w Genewie. Z polecenia doktorów Mickiewicz przewozi go do Avignonu. „Zle bardzo, bardzo z nami. Możesz wystawić sobie błędy podróży z chorem, którego na rękę z pojazdu do mieszkania dźwigać trzeba, w kraju gdzie oberżęści, spojrzawszy mu w oczy i widząc w nich niewiele życia, przyjmować nie chcą”. Jestem tak strudzony, tak bezsensowny, że dłużej pisać nie mogę”<sup>4)</sup>.

4) Z listu do I. Domeyki, Avignon, 7 września 1833 roku.

Chory przestał cierpieć, ustąpił bole fizyczne, ale za to wzmożła się czujność duszy. Z Avignonu chciał przenieść się dalej, dokądkolwiek; na niewiele godzin przed śmiercią, w nocy, mówił do czuwającej przy jego łóżku Klaudy Potockiej słabym głosem. Część tylko jego słów słyszała. Był to dysputy, które wiodł ze sobą czy z jakimś wyimaginowanym przeciwnikiem. Terminy filozoficzne mieszał z gminnymi przekleństwami. Mówił o rzekomej niezłuchowości Mickiewicza. — Tak, Adam chciał zniszczyć jego dzieło! Dlatego zwlekał z korektami. Dlatego zmienił jego wiersze, niby to dla wygładzenia, ale tymi poprawkami przyjacielskimi psuł tekst jego świadomie, świadomie...

Mickiewicz, zmęczony bezsennością i ciągłym patrzeniem na agonie przyjaciela, leżał w drugim pokoju, drzwi otwarte. Pani Potocka ujrzała jak przez błąd zwirową w tej chwili twarz konającego przeleciała nagle uśmiech anielski prawie. Rysy wygładziły się i wyjaśniły. Chory zasnął. Był to sen jego ostatni, albowiem umarł we śnie. Jest coś głęboko pocieszającego w takiej śmierci łagodnej, która zrzędnawawszy z brutalnego przejścia z jednego stanu w drugi, zacięra zbyt ostre przeciwieństwa, przenosi niejedną chorego, lekko jak po szczytce morfiny, w kraj doskonałej obojętności.

Było to w Avignonie 30 września. Pochowano go na tutejszym cmentarzu. Na marmurowej tablicy wyryto później napis łaciński:

D. O. M.  
Stefanus Garczyński  
miles  
In bello contra Moscoviae tyrannum  
equitum Posnanensium  
Centurionis vices gessit  
Vates  
Polonorum arma virosque cecinit  
Patria a tyranno oppressa  
Exul  
Obiit Avenioni,  
anno MDCCCXXXIII Septembris

Mickiewicz, wyczerpany zupełnie wraca do Paryża. Z Avignonu, jeszcze w dniu wyjazdu, pisze: „Jestem podobny teraz do Francuza wracającego z 1812 r., zdemoralizowany, słaby, obdartus zupełnie, bez butów prawie”. W mieszkaniu swoim na rue Saint-Nicolas 73 powoli lecz się w kilkudniowej samotności, jak niedźwiedź w jamie wśród litewskiego lasu.

Twarz jego w ciągu lat ostatnich uległa zmianom, które nie są na razie widoczne dla obujących z nim co dzień, zastanawiają natomiast tych, co po długiej rozłące zbliżają się do niego z uczuciem szacunku i jakby lęku zarazem. Oczy pozostały te same, osadzone w niezbyt wysokim czole pod łukami zdziwionych brwi, patrzące przed siebie z szerokoimi podbrziami, wystąpił, zbyt wyrażenie z twarzy wychudłej. Usta tylko stały się pełniejsze i bardziej wypukłe. Włosy w ostatnich bodaj miesiącach upodobiły się z barwy jeszcze bardziej do popiołu, znikł dawny ich połysk czarny. Sa jakby sztywniejsze; nie strzyżone długo, dodają tej twarzy nadmiernej powagi, niedroga zółtość cery postarza go znacznie. Jest to zaledwie początek tych zmian, które bodaj w 1843 roku odbiorą jego rysom resztę młodości.

Przejęcia, wyteżone życie umysłu i serca rzyją na tej twarzy ślady zbyt jawne. Twarz ta jest tragiczna dlatego, że jej zmarszczki i bruzdy są dziełem nie czasu biologicznego, lecz zgrzyoty, ma w sobie coś z czujności napiętego łuku; kiedy rozjaśnia się uśmiechem, usta są podobne do rozprostowującej się ciecicy po wyrzuceniu strzały.

A przecież myliłby się ten, kto chciałby sobie wyrobić sąd pełny o tym człowieku na podstawie drobniagowej analizy jego fizjonomii. Ten prorok, ten Savonarola ma w sobie równocześnie coś z rabelajowskiego sposobu bycia.

Wargi jego stworzone jakby do wymawiania słów wzniosłych, rzucają często gminne przekleństwa i rubaszne wyrazy. Przyjaciele jego: Kajsiewicz i Rettel, z którymi teraz koresponduje, albo ci prości Litwini, którym odczytuje co pewien czas urwki swego szlacheckiego poematu, nie różnią się słownictwem od niego. Panuje między nimi zgoda i w różnych drobiazgach obyczajny i wychowawczy, która zbliża ich nawzajem. Podkreślają ją chętnie, gdyż odnajdują w tych podobieństwach cząstkę ojczyzny na obcej ziemi.

Spotkania z tymi prostymi ludźmi ułatwiają mu powrót do poematu. Trudne do objęcia są sprawy twórczości. Nie ma nic bardziej zawodnego niż odczytywanie biografii pisarza z dzieł jego. Bład ten popełniają stale historycy literatury. Ogromna pogoda „Pana Tadeusza”, nakrywająca kopuła niebieską ten skrawek ziemi litewskiej, opisanej w poemacie i zaludnionej postaciami, które nigdy nie żyły, kałaby wnioskować — gdybyśmy nie mieli innych dokumentów — o sielskim nastroju i o znakomitym samopoczuciu autora tej dziwnie realnej baśni. Ale jak nieraz z uspokojonych myśli rodzi się poemat najprawdziwszego cierpienia, tak z bólu, z udreki, z tysiąca przeciwności powstaje rzecz pogodna i pełna nadziei. Poezja pisza bowiem z doświadczeń długoletnich, nie z chwilowych przeżyć, choćby najsilniejszych. Przynajmniej dzieła naprawdę trwałe czerpią siłę swoją z tego potężnego rezerwuaru, jak artyści znie studiują, drwiące z obecności podskórnych strumieni.

LEŚLAW M. BARTELSKI

## Wracając do Warszawy

4 lutego 1945 r.

I  
Prowadząc gwiazdy niebem przez obszar  
gdzie księżyc obcy w smutku się topi —  
niesiemy ziemię odbitą w oczach,  
krwawą i ciemną, zamkniętą w opis,  
a góry szare w wartości pejzażu  
rozpina szereg nikanących ogni:  
to profil miasta w słońcu z żelazem,  
I dzień trudy, bo boleś pod nim.

II

Tej sile ognia wierszem nie sproszasz  
nikły przechodni zgasłego miasta,  
które wwiązaniem urosło w mostach,  
zmieniając kształty w spalony kasztan.  
I kiedy sercu tylko piosenka  
gdzieś poza nami brzmi nutą twardą,  
motyw się sączy: nie bój się i nie lękaj  
choć cieniem jestem, powróć barwą.

III

Skoroś granice miasta przekroczył,  
płomieniem płaski, zmieniony w żalocę,  
przepal nas sobą, oczysz nas, ożyść  
zanikłe w warstwie ulicznej ciało.  
Ty nas wyzwolisz od wstecznych marzeń  
i w bohaterskie zamkniesz nas dzieje.

Czytając mękę na ludzkich twarzach,  
za wiele — mówię — było o nadzieję.

IV

Melodia w ustach jak kołysanka kul  
w rękach lufy strzelisty akt.  
W ojezystej glinie, zwietrzałym mule  
człowiek zwęglony, drobny jak ptak  
I kiedy słowo przemienię w ziarno  
a mury krwawe palną okryje,  
to wierszy moich uparta twardość  
przez gruzy, ogień i płacz przebiję

V

Oddziel słowo jak ziarno suche  
i drut okopów przywrze kolezasty  
do skroni zdartych przez zawieruchę  
i jak gwiazdami zwiśnie nad miastem.  
I idąc naprzód — napotkasz NIKE,  
Kutą z popiołu z matki twej twarzą  
Nie powiem więcej wtedy niż: jesteś.  
Wiersze się w ogniu zmieniają w żelazo.

1945

## Wydawnictwa dla młodzieży

Eduard Bass. Klub jedenastu. Katowice, „Awir”, 1947; str. 138 i 6 n. Czeska powieść dla młodzieży jest osnuta około dzieł niezwykłej jednej postaci pilkarskiej, Małorolny chłopce Kłapacz jedenastu swoich synów kształcił na doskonałych pilkarzy, którzy odbywają tryumfalne tournée po Europie, a wreszcie zdobywają mistrzostwo świata.

Powieść, pisana dla młodzieży, należy do tych książek, które dorosłym najchętniej „podkradają”, młodszy czytelnik, uważając, że oni lepiej oceniają cały smak artystyczny owej mistrzowskiej prostoty, jednej trzeźwości i porywawości, jednego humoru. Gdyż to są pierwsze, rzucające się w oczy zalety tej wspaniale napisanej książki. Samo założenie powieści, zarówno jak jej żywa akcja — mają podobnie podwójną wartość: zainteresują kilkunastoletnich chłopców, ale bardziej może ucieszą dorosłego amatora humoru intelektualnego niż dwunastoletniego zapaleńca footballu.

Jest to rozkoszna bajka dla dorosłych, napisana ze świadomości artystycznym wykorzystaniem wszystkich chwytów naiwności i morału, dozwolonych w literaturze młodzieżowej. Poczynając od owego założenia, które drażni nasze poczucie komizmu swoją baśniową absurdalnością; chłopce, który nie ma za co wyżyć swych jedena-

stu synów — kształcił ich na doskonałych sportsmenów, by dać im „fach w ręce”, i tych jedenastu — jak w bajce — zdobywa cały świat, hold monarchy i jedenaście narzeczonych. Ta kanwa fabularna opowiedziana jest w sposób trzeźwy i realistyczny. Jako powieść dla młodzieży książka daje zawsze wyrazną ocenę postępków i instytucji ludzkich. I to jest też bardzo miły sposób moralizowania, nie podważony bynajmniej przez humor i żart.

Racjonalistyczny krytycyzm społeczny przypomina humor i dydaktyzm opowiestek filozoficznych Diderota i Voltaire'a. Czeski pisarz z wielkim talentem wskrzeszają ten rodzaj (por. „Fabryka absolu” Czapka, która skądinąd nasuwa liczne zastrzeżenia), doskonale się nadający dla wysokogatunkowej literatury młodzieżowej.

Moralna tendencja książki jest wyłożona czarno na białym: że sport, to dobry żart, ale nie żadna treść życia. Że życia nie wypełni emocjonująca zabawa i łatwe zartowanie pieniędzy — tylko ta praca do której każdy człowiek ma indywidualne dane. Moral ten wypowiedział autor przekonująco, ukazując rozczarowanie młodych gwiazd footballu, gdy nie chcą z nimi grać zwykli chłopcy wiejskie. Bo Kłapacz są zawodowcami. Szlachetna ta intencja pozostaje już jednak poza ramami książki.

zznaczona tylko „ku pouczeniu”, żeby nie było nieporozumień, powieść bowiem obejmuje właśnie okres „sportowy” życia bohaterów. Inna rzecz, że ten cały sport jest pretekstem do pysznego żartu.

Ale pyszny żart zawiera też strone poważną. Spotykamy się tu z bardzo ciekawą próbą rozwiązania problemu okropności. Literatura dziecinna, szczególnie dawna, czerpiąc bezpośrednio motywy bajki z twórczości ludowej, obfitowała w nymenty okropności. Obrazy, pełne sadyzmu, cierpienia i tortur, nie były na szczęście apercypowane przez małych słuchaczy, uchodziły ich uwagi na równi z innymi elementami fantastycznymi, przyjmowanymi „umownie” a nie na serio. Ostatnio pedagogowie stoją na styżu wydawnictw dla dzieci, nie dostają się do nich te szkodliwe momenty wychowawcze. Czeski powieściopisarz rozwija tu ten problem — przez śmiech.

Pisana żywo, jasnym językiem, świetnie skomponowana, książka ta promieniuje optymizmem i zdrowiem.

W sumie, pierwszorzędna powieść dla młodzieży, interesująca i pełna wartości wychowawczych — a po cichu: gratka dla dorosłych, którzy się nacieszą tej pyszną robotą pisarską.

Tłumaczenie Zdzisława Hierowskiego nie ujmuje wdzięku oryginałowi.

Ryszard Manigiewicz. Wielki sztorm. (Warszawa), „Czytelnik”, 1947; str. 239 i 1 n.

Książka Manigiewicza „Wielki sztorm” nie posiada wybitnych wartości pisarskich. Opowiada dzieje sieroty — małego Kaszuba Franka, który dostał się w czasie ostatniej wojny na okręt polski i wraz z nim odbył odyseję wojenną. Zdobycia więc Frank przyjaźni starszych kolegów-marynarzy, odbywa z nimi niebezpieczne rejsy po wodach amerykańskich i angielskich, przeżywa chwile wesołe i tragiczne, wykrywa szajkę szpiegów niemieckich w New-Yorku, cudem i dzielnością unika śmierci z ich rąk, w katastrofie traci okochanych przyjaciół, wreszcie na nowym statku, noszącym imię zatonętego „Słazaku” nr. 2, wraca do ojczyzny, odczytuje w szkole morskiej i urzędystwie swoje marzenia o karierze marynarza, która nigdy ubogiemu chłopcu w wiosce rybackiej wydawała się tak nieosiągalną. Teraz znajduje w swoim kraju możliwość zrealizowania najgorętszych pragnień i obrania upragnionej drogi życia.

Wszystko to niestety opowiedziane jest rozległe i tym rzewnym stylem, jaki „obowiązywał” niegdyś w naszej literaturze dla młodzieży — stylem uszlachetniających powieści dla podlotków.

Janina Preger

Mieczysław Jastrun



KSAWERY PRUSZYŃSKI

# PRUSY I NNI

Na tak zwanych polkach księgarskich ukazała się tymi czasy obszerne monografia Bolesława Prusa (Z. Szwejkowskiego). Choć głosy krytyki wytknęły jej niogędo, przede wszystkim — i dosyć słusznie — to, że nie wnoszą do „prusologii” nowych momentów. Jest to książka nadzwyczaj cenna i pożyteczna, napisana z kulturą ułożenia, umiarem, tym, czego nam dzisiaj najbardziej brak. Jest to książka, która na przekór (jak zwykle u nas) krytyce, będzie czytana i czytana słusznie.

Przed wszystkim stwierdzamy od razu, że innych monograficznych opracowań o Prusie nie ma od bardzo dawna na naszych rachylnych polkach księgarskich. Znako- mity pod niejednym względem praca Wojciechowskiego jest niedo- stępnym krukami, bo też nasze księ- garstwo nigdy, a dziś może mniej niż kiedykolwiek, nie celowało w umiejętnym doborze wzniawań.

Cóż z tego zatem czy owa nowa monografia „posuwa” czy „nie po- suwa” naprzód naszą wiedzę o Pru- sie, kiedy współcześnie wyrasta no- we pokolenie, rozszerzając swe ho- ryzonty myślowe nowe warstwy, które nie czytały nigdy monografii o tymże Prusie, nie znają innych o- pracowań dostępnych dziś chyba antykwarystycznie. Ale za to czytają Prusa: „Lalkę”, „Faraona”, rzadziej „Placówkę” — no i chciałyby się dowiedzieć czegoś więcej o dobrym panu Bolesławie. Publiczność się tego domaga; i to jaka publiczność: młode pokolenie, nowe warstwy — słowem ta pozytywna, ta właściwa. Zdawać by się mogło, że taka książ- ka podpadalaby pod pojęcie „zamo- wienia społecznego”, o którym się tyle bębni i dudni, a tak słabuchowo się wypełnia. Książka taka naświet- liłaby dzieła pożyteczne, zastępo- nego pisarza, przedstawiła jego ży- cie, wreszcie dała — co także nie

jest rzeczą małą — wszechstronny obraz epoki, i jakiej epoki!

Epoka, o którą chodzi — to lata powstania, lata dojrzalsi Prusa, dzieciństwa i młodości Że- romskiego, dojrzenia Sienkiewicza. To lata, kiedy po klęsce powstania- czej jest upadek i przynębnienie a zarazem narastanie, budzenie się męczne nowego życia. Schyłek i świtanie, początek i koniec. Epoka trudna, ale pólna. Świeży trena Krzywicka pokusiła się w swych „Martenach” o jej pełny obraz. Daw- nej Maria Dąbrowska dała taki, co prawda ziemiański — chłopski, wiejski, z daleka tylko pokazujący miasto, a więc scenę, gdzie się naj- więcej właśnie stało. Czy wszystko to nie czeka na swe „obrobienie społeczne”?

Odrodzenie zainteresowań Prusem jest ogromnie znamienne dla na- szych czasów, nad wyraz pozytywne dla pism, którym je zawdzięcza- my. Dyskusje, polemiki i studia wszczęte w ubiegłym roku nad pa- nem Bolesławem były nader for- tunnym zjawiskiem, nawet, gdy- byśmy się nie mieli zgodzić z tym, co tam napisano, wstędkowano czy naciągnięto. Po prostu było to wznowienie Prusa, wydobycie go z polki dostojnych klasyków, wro- wadzenie znów w życie, do tej War- szawy, która tak ukochała i która w naszych oczach odbudowuje się na nowo. Właśnie u Prusa jest ten na- stroj popłazka klęski, ten nastroj obudowania od początku, krytycz- nego spojrzenia na to, co wydawło nam się zwyczajne, wreszcie na- stroj poczucia, wychowania.

Prus wychowuje, Prus kształci. Dzieje się to nieraz ze szkoda dla literackich walorów dzieła, pośred- nio zatem ze szkoda dla samego ce- lu, wychowawczego. Katedryzmy nie zyskują na tym, jeśli pisze się na nudno. Być może nauki Prusa były- by bardziej skuteczne, gdyby ich

było nieco mniej. (Dzisiaj wtykamy to Prusowi, choć sami to potem po- wtarzamy bez jego, rzecz prosta, talentu. Po latach, gdy przyszły krytyk grzebać się będzie w rama- chach, które mu pozostawi współczes- ność, gdy przyjdzie mu zdawać sprawę z legionu powieści i opowie- ści, może i pożytecznych w tenden- cji, ale coż jeśli zupełnie szustero- wanych artystycznie — będzie chy- ba wdychał co chwila!)

Tak, książka o Prusie, monogra- fia Prusa byłaby dziś arcydziełem. Niestety, nigdy jej chyba nie ujr- zymy. Przede wszystkim jego kroki, epizodyczny, ale jednak bardzo dłań istoty udział w powstaniu styczniowym osłonił wyczysty bodaj mrok Aleksandra Głowacki — czy trzeba przypominać prawdziwe imię i nazwisko autora „Lalki”? — peszeli do powstania jako młody chłopak, był w nim, wrócił z gory- czą i milczeniem, które przetrwały aż po grób. W paru nowelach, przy- tumionych zresztą łapa cenzora, ożywiają się reminiscencje pow- stańcze. Należy do nich ta właśnie gorzka nowela, w której powstań- cza „partia” wieszka jako „szpiega” uczestnika... poprzedniego powsta- nia. Prus działał w okresie, kiedy nie łatwo było sędzić najszlachet- niejszą z klęsk. Jaką był rok 1863. Półgłębkiem, ubocznie jakby, wy- dęzerały mu się gorzkie wrzuty. Tak zresztą jest z całą działalnością Prusa. W „Placówce” Prus jest cały ukochaniem chłopów, ale chłop jest tu jednocześnie odmalowany cienne- mi, realistycznym! barwami. „Placówka” to przynębiający o- braz socjalny i tylko na dalekim jego tle zarysowują się rudawe bla- ski nadziei. Warszawa w „Lalce” i „Emancypantkach” — to klebowi- sko typów z panopticonem, wykoła- wionych niegodziwych, gdzie posta- ci pozytywne są w końcu „nieu- dacznikami”, nawet gdy się nam

wydaje że jest przeciwnie. W tej krytyce warszawskiego społeczeń- stwa owych czasów czuć jednocześnie namietną, najczulszą miłość ku tej Warszawie i właśnie Prus jest Dickensem Warszawy, tym pisa- rzem polskiej prozy, który ukochał ją najwięcej.

Albo stosunek do państwa. „Fara- on” może być pod niejednym względem książką naiwną, ale to nie przeszkadza, że pozostał najwy- bitniejszą chyba polską książką o państwie, o sprawie rządu, o duszy rządzących. No i ta książka wpadła w ołtarz czasów aleksan- drowskich i mikolajowskich, naj- ciemniejszego okresu sztuki rządu- nia, jaki zapewne istniał.

Stosunek do Rosji. Można bez wielkiej przesady powiedzieć, że trzej nasi weterani prozy byli wiel- kimi potencjalnymi rusofilami. Wszyscy trzej — Prus, Sienkiewicz, Żeromski — byli bardzo wrogo us- pójnieni wobec Niemiec. Prus zwłascz. Czyż trzeba przypominać „Kryzysów”, że najwspanialszą po dziś dzień pozycję antygermańska w literaturze polskiej, „Bartka Zwy- ciejce”, „List do cesarza Wilhelma”, „List do baronowej Sulner” (z po- wodu protestu organizowanego przez tę damę przeciw przesłado- waniom Burów przez Anglików). Z Prusa chociażby właśnie jedna „Placówka”. Albo utępy z „Popio- łów”, z „Urody życia” nie mówią- cym o późniejszym, powojennym „Wietrze od morza”? Wszyscy trzej w mniejszym lub większym stop- niu przeszli przez okres pozytywiz- mu, niewątpliwie, acz ostrożnie po- stopowego.

Prus, najstarszy, zespolił się z nim cały, u Sienkiewicza okres ten zaczął aż po wiek dojrzalsi, Że- romskiemu, najmłodszemu, ukuli tylko młodość. (Dodajmy, że może właśnie te młode książki Żeromskiego po- zostają najtrwalszym jego dorob-

kiem). Wszystkich łączyła różnyh odcieni germanofobia, wszystkich łączył — także różny w odcieniu — pozytywny stosunek do Rosji jako narodu.

Albo coż! Jakby na złość, jakby na przekór historii, czasy były takie, ówczesne państwo upostaciowia- nie Rosji było tego rodzaju, że wszystkie te najlepsze tendencje u owych trzech pisarzy musiały wła- ściwie zamrzeć. Najsilniej wystąpi- ły może jeszcze u Prusa — ale ra- czej w jego publicystycznej niż li- terackiej działalności. U Sienkiewi- cza polegały głównie na unikaniu zdrażeń „od septentrińskiej strony”. U Żeromskiego w latach wczesnej młodości przejawiały się w „Szyfowych pracach” obrazem peł- nym gorczy, jędu i zapiekłej, roz- gorzałej nienawiści (A przecież tego- łoś samego Żeromskiego w kilka- dziesiąt lat później stać było na ja- kież entuzjazm na kartach „Przed- wiosnia”).

Prus, Sienkiewicz, Żeromski. Ol- brzymia ilość dobrej woli, talentu, możliwości wpływu, posłała na marne.

Po latach czytałem znowu „Lal- ke”, a jej wznowienie, jak i tysiące innych wznowień, że wznowieniami staro Krzeszowskiego na czele, stanowi jedną z najważniejszych pozycji kulturalnych naszego okre- su. Otoż czytałem „Lalkę”, tę naj- nieliczniejszą z wielkich polskich powieści, i wydaje mi się, że posia- da ona jakby trzy osobne partie. Najmniej udało się oczywiście ca- ła część wynalazkowo-sensacyjna z owymi planami balonowymi, ato- mowymi, jakimi tam jeszcze, z bar- dzo nieudalym obrazem Paryża — oto skutki, kiedy pisarz nie podro- zuje. Piękne jest to, co byśmy na- zwali „dziejami Wokuiskiego”, od jego zaczątków kelnerskich i ojca, kasztelańskiego wnuka; szkoda, że roztopione w końcu w pływicie- czynny i flirtu z panną Izabellą.

Albo najpiękniejsze bodaj z całej „Lalki”, to wspomnienia Ignacego Rzeckiego. Owe wspaniałe, jakże prawdziwe „Pamiętniki starego subiekta”. Mało się powinno radzić czytelnikom, nikt tego nie lubi, ale osmielibym się doradzić jedno: wziąć „Lalkę” i odczytać sobie z niej jednym ciągiem właśnie te tylko rozdziały. Skiepił staro Min- cla, wyjazd Rzeckiego na Węgry, jego węgiersko - wojenne przygo- dy z Katzem i innymi, tułaczkę obca, powrót na Lublin, i potem znowu: lada, sklep, towary krótkie i mieszane, i życie, życie i uro- jenia o Lulu Bonapartem, i świat idący mimo nich, wbrwim nim, cał- kownie swoją drogą. Wykrojone z wielkiej, nieskładnej czasem całoś- ci, tworzą część doskonałą, zwa- ta skończoną, a jakże prawdziwie polską. Nie ma wspanialszych Ced- row, nie ma pięknych Obromskich, ot, Mincla, Katze, Rzeczy, zare to jak my dziś wszyscy, bliscy, naj- bliżsi troskami, nadziejami, kłopot- ami ludzkimi, no i polskimi.

We Francji są czasem takie wy- dawnictwa, wykrakujące z jakieś- gę dzieła, niekoniecznie w całoś- ci doskonałego, jego część bardziej doskonałą a samodzielną. Nie wiem czy nie byłby to pomysł, wydać tak „Pamiętniki starego subiekta”, skromne, ale ładnie, właśnie w jakimś czasie i dru- ku odpowiednim, czasem, kiedy Warszawa oświetlały pierwsze lampy gazowe, w jarach ogrodu Frascati pomykały kurapatwy, a bale „Latarni” zaczynały się sta- wać wielkim wieczorem karnawa- łek. I może by ten jeden wykra- wek powiedział nam o Prusie wie- ciej niż najuczestsze „odnoszka- m” stemplowane monografie!...

Ksawery Pruszyński

MARIUSZ MARGAL

## BARAKI SĄ WSZĘDZIE TAKIE SAME

Winterslag, w styczniu 1948 r.

Dłisów przyjechało prawie 8.000. Do pracy w belgijskich kopalniach przyjechali z obozów w amery-kańskiej strefie Niemiec, do belgijskich, wjechał, nie do pol- skich. Wyjechał, bo UNRRA prze- stawa już zyskać konserwowana manna z amerykańskiego nieba, a legitymacja D. P. zakończyła swój żywot uprzywilejowany. Wyjechał, bo w Belgii można było podobno dorobić się majątku, praca miała być lekka, a jej warunki wspania- le. Tak pisał „Orzeł Biały” i „Dziennik Żołnierza”, wjechali co Belgii, nie do Polski.

W Niemczech musieli już chodzić co roboty. Póki Niemcy fraterni- zowali się z ich amerykańskimi strażnikami i przyglądali się pra- ce oswojonych Polaków, Polacy odbudowywali Czwartą Rzeszę, za amerykańskie konserwy i tuszki- za Polska. Pojechali do Belgii, nie do Polski, bo woleli; prze- cież obczyzna niż knut sowiecki i katorgi Sybiru. Tak pisał „Orzeł Biały” i „Dziennik Żołnierza” — coż jeszcze wiedzieli o ojczyźnie? O Belgii wiedzieli wszystko. Wie- dzeli, że praca będzie tam lekka, a zarobki wysokie, że dostaną ładne mieszkania na własność i żywność pod dostatkiem. Tak pisał „Orzeł Biały”, tak pisało w kontraktach. Podpisali je prowizorycznie, na 91 dni, by kopalnia mogła się zorien- tować w przybyłym materiale i zwozić w tym terminie nie dość zdrowych, nie dość silnych, nie dość pracowitych. Po upływie 91 dni powtórnie podpisali wiaza- łaż, uż na długo, wiazał już na dwa lata. Dwa lata to szmat czasu. Przez dwa lata można dorobić się majątku, przez dwa lata może się i w Polsce zmienić... „Orzeł Biały” karnał nadzieję i wskazywał drogę. Droga wiedza na obczyźnie. Po- lacy jechali do Belgii.

Belgia potrzebowała Polaków. Nowy ośrodek górnicy w Limburgu rozwijał się od lat zaledwie trzydziestu, stara emigracja poka- rzała w Liège, w Mons, w Charle- roi, że Polacy potrafia pracować, obozy displaced persons były nie- wyczerpanym rezerwuarem robo- czych sił.

Belgia potrzebowała Polaków. Jency niemieccy wracali do swych rodzin. Ameryka przyspieszała ak- cje ich zwalniania, baraki po Niemczech pozostawały puste, ko- palnie Limburgi wolały o robotni- ka. Jency niemieccy wracali do swych domów, Polacy zmieniali baraki.

Dłisów wierzili Londynowi. Dłis- si, wierzali, że dostaną skromne mieszkania na własność w małych, kilkoroboczych domkach. Dłisów wierzili, że mieszkania „sta- ły” w kontraktach. Ale w Limbur- gu, w Winterslag, w Eisden, w Schlessmougre stały ponieściekie baraki. Podzielono je ściankami, dykty na małe pokójki, każde kli- tce odpowiadało jednobarakowe okno, wybielono wnętrza, na ze- wnatrz namalowano białoczerwone pasy. Żeby Polacy wiedzieli, że to dla nich. Dłisów kolezastego nie zdzieli

Dłisów wierzili Londynowi. Wier- zili, że dostaną wysokie płace, wierzili w przywileje, wierzili w belgijskie Klondyke. Rozczarowanie nastąpiło przy pierwszej wypłacie. Dłisówka dłisowa zechciała do 150 franków, dłisowa starzy emi- grantów przekraczała 220, sztygar miał przeszło 400 franków dzien- nie. Sztygarom mogli być tylko Belg.

Praca była ciężka, nie taka, jak ją reklamował Londyn. Praca była ciężka, ci ludzie wiele lat żyli fa- lowym, próżniwym, demoralizują- cym życiem w ekupowanych Niem- czech. Przyjechali nie tylko górnicy — większość stanowili kupcy, byli oficerowie, inteligenci, młodzi ludzie, którzy nie mieli kiedy nau- czyć się zawodu. Do sztolni zjecha- ła po raz pierwszy, po raz pierw- szy wzięli do ręki kilof, pierwszy raz wdychali pył węglowy na po- kładzie. Nie znali języka, nie znali praw miejscowych, nie znali pra- cy. Wszystko było trudne, wszyst- ko było obce, wszystko było wro- gie. Uciekali, nie znali języka, nie znali terenu, wpadli w ręce policji. Pod Brukselą w karnym obozie znajdują się dużo Polaków. Ci już chcą wrócić do kraju.

Limbski okręg węglowy za- cętna się za Hasselt. W Hasselt trzeba się przesiąść na inny pociąg, od Hasselt pociągi mają skład zło- żony ze starych, rozklekotanych wagonów, w których drzwi otwie- rają się tylko od zewnątrz. Był Nowy Rok, padał deszcz, pociąg jechał powoli, dach wagonu przeciekał.

Od Hasselt pociągami jada tylko robotnicy. Był Nowy Rok, pociąg był prawie pusty, jakiś Węgier dziwił się, że obcy jedzie w te strony i zali się na swoje życie.

Winterslag był spokojny w ten deszczowy dzień Nowego Roku, tylko kilku pijanych Włochów krzykliwie śpiewało jakieś melodie. Prostopadle wytyczone ceglany- mi, cmentarnymi ulicę zam- nienili się w grząską, brudną ba- raki. Baraki były za osada. Stały jeden obok drugiego, bliźniaczo po- dobne do siebie, nie do odróżnie- nia. Bliźniacze były izby, wybielo- ne ściany z dykt, szerokie łóżko pod oknem, żelazny piecyk na rusztowaniu z cegiel, prosty stół w środku, dwa krzeselka, ścięble powietrze, mrok. Gdyby tak miesz- kał wysiedleńcy z Polski Niemcy, aiem podniósłby cywilizowany świat Zachodu, puszczono by w ruch kamery Foca i MGM, zorga- nizowano by akcje pomocy. Tu są jeszcze dzieki, w każdym mieszka- niu są dzieki, większość tych ludzi pocięta się w Niemczech, dziś te dzieki mają po roku, półtora i sta- wiają swoje pierwsze kroki na belgijskiej ziemi.

Kiedy ci Polacy przyjechali do Belgii, belgijska prasa lewicowa zaalarmowała opinię, że rząd spró- wadzi fałszywost. Chodziliem od mieszkania do mieszkania, rozma- wiałem z tymi ludźmi, zrzuconymi w odludzie Limburgi. Oni nie są fałszywymi. Oni są tylko wytręca- ni z równowagi, są wykołeceni z normalnego biegu życia. Ci lu-

dzie, te młode małżeństwa nie pa- nięta, jak wygląda dom? To wszystko. Są rozczarowani, są nie- ufni. Zawiedli się na wolność, która przyniesi! Amerykanie, za- pędzi! się na Polsce, która urzeli oczami Andersa, zawiedli się na Londynie, który ich wtracił w te baraki, zawiedli się na Belgii. Są nieufni. Wrócić do Polski? Waha- ła się. (Z czasem zobaczymy, zo- rientujemy się. Bo może i ja kła- nie i „Gazeta Polska” oszukuje, jak oszukiwał „Orzeł Biały”? Mo- że Polska będzie jeszcze jednym rozczarowaniem więcej? Sa nieuf- ni, pytają niewiele, odpowiadają skąpo, z każdego słowa przebija żal. Do kogo? Są zdziwieni. Kore- spondent z Polski? To w kraju in- teresują się nami, prostymi ludź- mi, ludźmi z baraków? Wzrusza ich trochę ta wizyta, ta pierwsza wizyta człowieka „stamtąd”. Jest Nowy Rok, częstażka zakażka i wódka, są gościnni. Czują się smu- tek w powietrzu. Czują się prze- paść.

Ta przepaść istnieje nie od dziś. Z jednej strony Rada Narodowa Polaków, która prowadzi politykę jednocy, która prowadzi do po- wrotu. Z drugiej strony Związek Polaków, rozbitny, niejednolity, roz- proszkowany wskutek osobistych ambicji na kilka grup i organiza- cji, ale twardo i nieustępliwie trzy- rający się jedne, linii Londyn- skiej. Do Polski nie wrócić.

W robotniczych i górnicych ok- ręgach centralnej Belgii, Liège, Charleroi, Borinage, stara, uswia-

demiona emigracja polska, której przeszło 12 tysięcy rodzin, nie- dać się wziąć na lep Związków Polaków. Oni znali dobrze Polskę tych panów, przez nich musieli opuścić ojczyznę, mają ich dość. Oni wiedza, kto organizuje pol- skie punkty szkolne w Belgii, by się nie asymilowała młodzież pol- ska, kto organizuje polskie życie kulturalne, kto organizuje akcje repatriacyjne, a kto tylko używa słów i robotuje, niewiedzą, Ci lu- dzie, robotnicy, górnicy, wracają. Wracają najlepiej, z tego korzysta Związek Polaków, by mniej zde- cydowanych, mniej świadomych zagarniać pod swoje wpływy. Te- raz dopuszczają się do głosu WRN. Te są przecież socjaliści: oni będą bronić twego interesu, polski ro- botnik na emigracji! Nie wracaj do kraju!

Kto broni interesów polskiego górnika w Winterslag lub Eisden? Młsja katolicka wysłała paczki, „Rycerzyka” i słowo boze. Z tym słowem staje ksiądz polski na am- bonie mełego kościółka, który wy- gląda jak zwykły domek robotni- czy, z tym tylko, że ma krzyż nad wejściem, i prawi co niedziela o dziejach Polski w niewoli rosyjs-kiej od pierwszego rozbioru do roku pańskiego 1947, każe o Polsce — przedmurzu chizecjiństwa i o Polsce od morza do morza. Potem spiewa się „ojczyznę, wolność, raz- nam wrócić Panie!” i ksiądz jest zadowolony z siebie. Gdy chodził z opłatkiem, opowiadał o koniecz- ności trzeciej wojny, bo tylko w

ten sposób uda się nam pozbyć ru- sków z Polski, a ruscy to dzicy lu- dzie, pogańskie mają dusze, on ich zna, tych kozaków, Tatarów, jesz- cze z tamtej wojny i wie: tylko jedno zwycięstwo, wojna. To będzie święta wojna, kto pamięta, wieczna mu szczęśliwość niebieska.

Kto broni interesów polskiego górnika z kopalni limbskich? Związek Polaków przysłał emisa- rzy, którzy sięja nienawisć, któ- rzy potrzebują przepaść, którzy ro- zumują, że jeżeli w listach nad- chodzących z Polski nie ma po- twierdzenia tych wszystkich strasz- nych wieści o nędzy i terrorze, to najlepszy dowód, że jest źle, i że jest terror, bo ludzie o nim boją się pisać. Sprawa niższych plac za równą pracę, sprawa uposażeń w razie choroby lub wypadku, sprawa mieszkania czy prawa do przewozu się? To nie są zagadnie- nia, które ich interesują. To są białe sprawy, nie od nich zależy przyszłość Polski.

Kto broni interesów dipisa z ba- raków w Winterslagu? Rada Naro- dową? Kopalnie w Belgii należą do prywatnych właścicieli, biada takim robotnikom, za którym ujęłaby się Rada Narodowa, która przecież chce pozabawie kopalnie siły robotczej, która chce pozabawie właściciela lekkiego zarobku, gdy oficjalnie propaguje powrót górni-ka do Polski. Po interwencji Rady Narodowej pogorszyć się tylko mo- że, lecz poszkodowanego, więc le-piej już nie interweniować.

Starzy emigranci sobie radzą: nie- dać się, postawić się mocno, krzyk- nąć nawet! Ba, ale po jakimś krzyknąć? Po polsku krzyczy się w Katowicach.

## Czego chcą pisarze jugosłowiańscy

Pienarne zebranie Zarządu Związku Literatów Jugosłowiań- skich zgrupowało w dniach 23-24 listopada 1947 r. prezesów i sekre- tarzy związków poszczególnych republik oraz redaktorów prasy literackiej: „Młodość”, „Knizevnost” (literatura), „Republika”, „Novi Svet” (Nowy Świat), „Pregled”, „Novi Dan” (Nowy dzień), „Sta- vanje” (Twórczość) i „Letopis matice srpskie” (Annaly Macierzy Serbskiej).

Referaty, koreferaty i obszernie dyskusje zgodnie dawały wyraz powszechnemu pragnieniu rozwoju literatury w ścisłej łączności z wszechstronnym, politycznym, kul- turalnym i gospodarczym postępem narodów Jugosławii, krocących drogą planowej budowy socjaliz- mu, łączności z nowa rzeczywisto- ścią kraju, jego międzynarodowym położeniem i dążnością do spra- wiedliwego i prawdziwie demokra- tycznego ustroju w świecie.

Świadome szczególnych zadań i obowiązków, jakie obecna chwila nakłada na współczesną literaturę, a zatem na jej przedstawicieli, ze- branie powzięło następujące de- cyzje:

1) Zjednoczone w walce o wol- ność i rozbudowę państwa naro- dów Jugosławii dążyć będą usilnie do wzajemnego zbliżenia i pozna-

nia. Zorganizowana współpraca bratnich republik zacieśni łącznie je więzy kulturalne i sprawi, że osiągnięcia poszczególnych naro- dów staną się wspólnym dobrem i przyczynią się do kulturalnego i społecznego postępu całego kraju. W tym celu członkowie Związku zobowiązują się wygłaszać odczyty we wszystkich republikach, redak- torzy zaś czasopism wydawać będą specjalne dodatki literackie, w których zaprowadzą dział bibliografii i recenzji, omawiających książki wydane w pozostałych republi- kach. Poza tym postanowiono urza- dzać wieczory literackie z udziałem pisarzy z całego kraju i wieczory autorskie wymienne, gościnne wy- stępy literatów w poszczególnych republikach.

2) Obok działalności artystycznej pisarze Jugosławii rozwijać winni działalność społeczną i brać żywy udział w życiu kraju, pracując nad podniesieniem kultury najszerzych mas narodu. Nawiązać zatem ścis- łej kontakt z poszczególnymi stowarzyszeniami, obać będą o po- ziomy już wychodzący pism oraz zakładać nowe. Związek natomiast podejmie się wydawać dwutygod- nik literacki oraz co jakiś czas al- manachy, które będą omawiać i publikować twórczość literacką wszystkich republik ludowych.

3) Związki poszczególnych repu- blik mają obowiązek interesować się materialnymi warunkami i moż- liwościami pracy swoich członków i kandydatów i zrobić wszystko, aby ich był poprawić.

4) Szczególną opieką należy oto- czyć młodych pisarzy, członków Związku i kandydatów. Związki będą regularnie urządzać zebrania młodych, na których będą mieli możliwość poznać i zaprzyjaźnić się ze starszą generacją pisarzy. Cza- sospisma literackie oddadzą swoje łamy również twórczości najmłod- szych, a już w 1948 roku ukaze się stroniem Związku zbiorowe wy- danie utworów młodych pisarzy. Związek zorganizuje również zjazd młodych z całego kraju i przyjmie na siebie szczególną troskę o ich byt materialny i zdobycie dla nich pomocy.

5) Komisje specjalne, utworzone dla poszczególnych działów litera- tury, śledzić mają wszelkie prze- biegi życia literackiego we wszyst- kich republikach kraju, wywierac swój wpływ i opiekować się człon- kami związku. Szczególną uwagę należy poświęcić książce dla dziecka.

6) Komisja zagraniczna, która powstanie przy Zarządzie Związku

będzie miała za zadanie ożywić kontakt z zagranicą, zapoznać ju- gosłowiańskich literatów z waż- niejszymi zjawiskami kulturalnego i literackiego życia obcych naro- dów oraz zacieśnić łączność kul- turalną z narodami słowiańskimi i wszystkimi postępowymi naroda- mi świata.

7) Obecni z rozgoryczeniem przy- jęli wiadomość o prowokacji Zar-ządu Socjalistycznego w Trieście, który zakazał odczytywać przez radio utwory Iwana Cankara. W odpowiedzi na zakusy reakcyjnych kol imperialistycznych na wolność i kulturę demokratycznych i poste- powych narodów, zebranie poleciło wszystkim związkom i poszczególnym ich członkom walczyć z pod- żeganiami wołennymi. Na łamach prasy i w publikacjach, w pracy społecznej i wystąpieniach publicz- nych, członkowie Związku będą nieustępliwie walczyć z wrogami: wolności i kultury, podkreślając swą solidarność z miłującymi po- koj i wolność narodami.

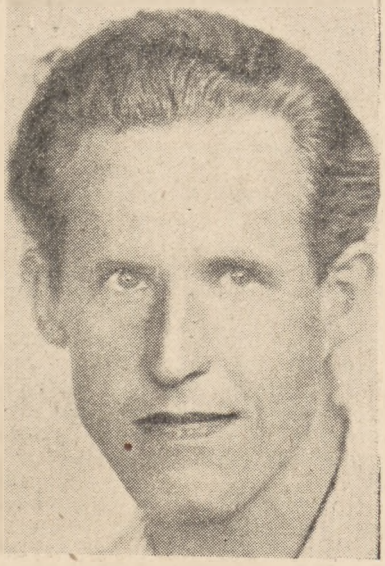
Zebrani na drugim walnym ze- braniu Zarządu Związku Litera- tów Jugosłowiańskich pisarze po- stanawiają zgodnie służyć kulturze i postępowi swego kraju, demokra- cji i sprawie pokoju.

Mariusz Margal



MARIA RZEUSKA

## Ognisko dyskusji o stylu i stylistyce



Kazimierz Budzyk

Jest coś niezmiernie krępującego w ukazaniu się ósmego z kolei, a pierwszego po wojnie tomu\*) wydawnictwa „Z zagadnień poetyki”. Wypełniają go zagadnienia ekspresji językowej, stylu i stylistyki. Nośność odpowiedzi, choć nieco myląca tytuł: „Stylistyka teoretyczna w Polsce”. Myląca, bo na jedenaście zawartych tu rozpraw tylko sześć ma charakter teoretyczny, reszta to rozważania szczegółowe. Poprzedza wszystko długi wstęp K. Budzyka, jednocześnie redaktora tomu i zapewne autora zamieszczonego na końcu bibliograficznego zestawienia.

Treść artykułów skupia się wokół trzech głównych centrów; teoretyczne mówią przede wszystkim o zagadnieniach najogólniejszych: przedmiocie, zadaniach, metodzie stylistyki. Dyskutanci to głównie językoznawcy: Szober, Wędkiewicz, Nitsch, Łoś, Rozwadowski, Gaertner, Z. Lempicki, Budzyk. Dwa w tej grupie artykuły Budzyka, jeden o gwarze, drugi o neologizmach w literaturze, poruszają tematy ważniejsze. Grupa druga to rozprawy szczegółowe, analizy konkretnych utworów, mające w intencjach redaktora ilustrować również pewne problemy teoretyczne, a raczej pewne systemy metodologiczne rozwiązywania zagadnień stylistyki. Autorzy: K. Wójcicki, znów Budzyk, A. Obrebska - Jabłońska, D. Hopenstanzd rozważają kwestie mowy tzw. pozornie zależnej w narracji powieściowej. Ale ambicje redaktora były większe: aniżeli wola skupienia kilkunastu artykułów w jednej książce. Chciał nadto ukazać nurtujące w nauce o stylu prądy i kierunki, przedstawić systemy, a nawet zarysować perspektywy przyszłości. Wszystko poszegregował więc i ułożył w cztery odrębne części i rozdziały. Każda reprezentuje specjalny, odrębny kierunek Mamy zatem: I — stylistykę językoznawczą, II — strukturalną (Wójcicki, Budzyk, Obrebska), III — idealistyczną (Z. Lempicki) i IV — socjologiczną (Hopenstanzd).

Choć podział jest interesujący i w znacznej mierze przekonujący, nie da się przecież utrzymać w całości. Najbardziej wątpliwa jest część druga i na niej pragnę skupić uwagę, gdyż sprawa z nią związana cofa nas w głąb historii nauki o literaturze. Nazwał ją Budzyk stylistyką strukturalną, czyli taką, która wszelkie szczegółowe problemy stylu rozwiązuje na tle całości konkretnego utworu i tylko jako wyraz tej całości. Otóż, chociaż Wójcicki i Budzyk moment ten podkreślają, nie odgrywa on większej roli metodologicznej i w żadnym wypadku nie stanowi podstawy systemu, ani też tego systemu szczególnie nie charakteryzuje. Elementy, które ich łączą, mają naturę ogólnikową, bardziej programową niż merytoryczną, te zaś,

\*) Z zagadnień poetyki. Stylistyka teoretyczna w Polsce. Pod redakcją Kazimierza Budzyka. Warszawa, „Książka”, 1946; str. 405 i 1 n.

W poprzednim 4 (165) numerze „Odrodzenia” z dnia 25 stycznia 1948 r.: Stefan Wierbiński: Przemówienie na II Generalnej Konferencji UNESCO. — K. I. Gałęziński: Grób Krasińskiego. — Jan Morawicki: Trzy wystawy czyli o przyszłość Raperswila. — Bogdan Kamodziński: Kłamałem „aby żyć”. — Czesław Miłosz: Nad książką czyli cudze chwale. — Anna Kowalska: Idylla w Nauplii. — Paweł Hertz: Z warsztatu nowoczesnego poety. — Wilhelm Nowaczyk: Anna Seghers. — Tadeusz Brzeczka: „Cyd” z Bagdadu. — Tadeusz Konwicki: Machiavelli od tyłu i przodu. — Mariusz Margal: Ciekawostki filmowe. — Krystyna Kulczewska: Antologia literatury dziecięcej. — Jerzy Andrzejewski: Kartki z dziennika lektury: Pozyteczny rewizjonizm. — kJw: Szkoła krytyków: Listy Wyspiańskiego. — Zygmunt Mycielski: Opieka nad twórczością, filharmonia, radio. — stg: Kronika francuska. — Tydzień bibliograficzny. — Stefan Papée: Pochwała i szkolenie dyktanta. — Z teki dr Prota Sowizdrzała: Kolorystyczne wartości partykuł czyli o polonistycznym kolorowaniu. — Camera obscura. — 5 ilustracji. — 8 stron.

które ich dzielą, są bardzo zasadniczej wagi, merytorycznie i metodologicznie decydują. Łącząc ich mianowicie fakt, że Wójcicki nie był historykiem, lecz analitykiem i teoretykiem literatury.

Przed minioną wojną podchwyciła to młoda wówczas generacja badaczy (należy do nich i autorka tego artykułu), która szukała własnych nowych dróg, starała się podać krytyce martwiejące schematy filologizmu, biografizmu, genetyzmu i nieodpowiedzialnego psychologizowania, skupić uwagę na samym utworze literackim. Poszukując, jak w takich wypadkach zwykle bywa, prekursorów, trafiono na wybitne prace Wójcickiego. „Odkryto” go. Nawiazano. Nawiazano szczerze, gorąco, żarliwie. Ale ta młoda grupa ze starym profesorem, Manfredem Kridlem, na czele, niewiele miała z Wójcickim wspólnego. Wpływ natomiast znaczny, choć nie wyłączny, wywierali na nią formalisci rosyjscy, co widać zresztą jeszcze zarówno we wstępie jak i w artykułach Budzyka; ale wpływ ten do Wójcickiego nie dotarł, nie zmienił wcale dróg naukowej działalności uczonego o schyłku życia. Dlatego stylistykę, reprezentowaną przez Budzyka, nazwałabym formalizującą z zabarwieniem językoznawczym, warszawska bowiem grupa ówczesnych polonistów, do której należał, żywo interesowała się językoznawstwem, zwłaszcza czeskim.

Ze wszystkich jego wypowiedzi widać, że obce mu są i poznawczo wrogie, wszelkie, jak je nazywa, estetyzowania, wartościowania i wczuwalnicwa, za ideał uważa obiektywizm metody językoznawczej, przeniesionej do badań literackich i tam przetłumaczonej na język poznawczy. Z tego właśnie, i z poprzednio wymienionych powodów, postawa Wójcickiego musi być w tym „co najistotniejsze, w metodologii, nie tylko mu daleka, lecz biegunowo przeciwna.

Z grupy, z systemu, który reprezentują artykuły Budzyka, Wójcicki musi być wyłączone, bo każdy, kto choć powierzchownie zna całość jego naukowej działalności, wie, że wartościowanie, wczuwalnicwo, estetyzm nawet, to podstawowe jej cechy. Obce było Wójcickiemu „obiektywne” gromadzenie faktów, beznamiętna klasyfikacja czy traktowanie formy, jako zespołu „chwytów”. Szukał na drodze ścisłej i również nieposzlakowane naukowe, chociaż wcale nie językoznawczej, rozwiązania jednego z kapitalnych zagadnień teoretyczno-literackich — na czym polega wartość i piękno utworów?

Należy go z grupy strukturalizmu wyłączyć jeszcze dlatego, że sam reprezentuje określony system. System, wobec którego Budzyk zajął stanowisko tak dalece negatywne, że ma dlań tylko słowa lekceważenia, neguje nawet jego istnienie, nie uwzględniając go ani w swym wstępnym zarysie, ani w żadnej grupie czy rozdziale. Ten system to stylistyka tradycyjna; Wójcicki jest jej przedstawicielem i o nią trzeba się upomnieć.

Pierwszym krokiem w dziejach stylistyki jest, zdaniem Budzyka, książka Józefa Przyborowskiego o Kochanowskim z r. 1857, gdzie jeden rozdział ma tytuł „Kilka słów o języku”. Wszystko, co było przed i po Przyborowskim, rozumie, da się sprowadzić do podreżników szkolnych, tego wyliczających tropy. Nie ma tam o czym poważnie mówić. Przyborowski wiedział, ile ta stylistyka była warta, dlatego startował pod zna kiem językoznawstwa. Ignorując świadomie termin „styl”, posługując się terminem „język”. Wydaje mi się, że rozumowanie to jest zbyt daleko idącym uproszczeniem. Przeważnie skromną rolę Przyborowskiego i narzuca mu programowe tendencje samego Budzyka.

Otóż twierdzą, że początek dziejów polskiej stylistyki umieścić należy o schyłku wieku XVIII. Ślady jej da się, oczywiście, stwierdzić znacznie wcześniej. Ze w najdawniejszych źródłach, często poprzez literaturę francuską, sięga poetyki Arystotelesa. Cicerona, Horacego, to się rozumie, ale z tego jeszcze nie wynika, że nie zawiera oryginalnych elementów polskiej myśli teoretycznej; że jej nie charakteryzuje i że w rozważaniach historycznych można ją pominąć i zbyć lekceważeniem.

Prawda, zainteresowania zagadnieniami stylu, gdzieś od końca XVIII do połowy XIX wieku, miały oblicze normatywne lub normatywizujące. Trzeba jednak pamiętać, że wszelka myśl naukowa tego czasu, w Polsce zwłaszcza, tak wyglądała. Trzeba chcieć i umieć pod jej pozornym czy nawet rzeczywistym normatywizmem, wykryć żywą myśl poszukującą. Czołowe ówczesne nie badał, lecz stwierdzał prawdę i podawał ją do wierzenia, należałoby jednak wyjść poza pozory i dojrzeć w jego pracach to, co jest i w naszych — tendencje ściśle poznawcze. Forma była normatywna, intencja naukowa. Ale wcale często zdarzało się, że normatywizm prawie nie było. Tak np. pod pseudonimem Dantisca ukazuje się w r. 1810 (data 1801, wydrukowana na okładce, jest według Korbuta błędna), gruba, 252 stron licząca książka: „Myśli o pismach polskich z

uwagami nad sposobem pisania w rozmaitych materiach”, której autor, Adam Kazimierz Czartoryski, rozważa sprawy języka oraz stylu i to w ujęciu teoretycznym. ściślej — teoretyczno-krytycznym. O tropach — prawie nie wspomina. „Wszelki rodzaj pisania” — powiada np. — „ma styl sobie właściwy, a każdy język ma w sobie mniej lub więcej słów zdalnych do każdego z tych rodzajów. Słowa są narzędziem myśli, sztuka zaś zasadą się na zwykłym ich ustawieniu, przerzucaniu i dobiernemu najdoskonalszemu, ku doskonalszemu myśli wyobrażeniu, stosując koniecznie styl do materii”.

Może nie każdy miał możliwość zetknąć się z czterotomowym dziełem St. Potockiego „O wymowie i stylu” (1815), każdy jednak wie, kto to był Euzebiusz Słowacki, Borowski, Sniadecki, K. Brodziński. Brodziński siedem lat (1825 — 31) prowadził na uniwersytecie warszawskim „Kurs nauki o stylu”. Przecież pierwsza w Polsce dyskusja literacka, tzw. walka romantyków z klasykami, odbył by się nawet nie mogła, gdyby pole teoretyczne języka i stylu nie było już dobrze uprawione. Nie miała by też takiego poziomu. Wciąż jeszcze za mało patrzy się na nią z perspektywy teorii literatury, badawczo, zbyt zaś merytorycznie i sentymentalnie z punktu widzenia walki rozumu z uczuciem, czy poezji romantycznej i przesładowania jej przez zimnych klasyków.

Twierdzenie, że wszystkie przed Przyborowskim rozważania nad stylem sprowadzały się do analizy tropów i figur, też nie jest zgodne ze stanem faktycznym. Figury, tropy stylistyczne (a nazwa ta jest późna, zazwyczaj posługiwano się terminem „postaci mowy”), były tylko jednym z zagadnień i to bynajmniej nie najważniejszym. Euzebiusz Słowacki („Dziela”, t. I, 1824) rozważania na temat literatury jako sztuki układa w ten sposób, że po rozdziale wstępnym, ogólnym, daje rozdział o smaku, języku, stylu, a dopiero na końcu „o postaciach mowy”. To samo jest w typowym już szkolnym podręczniku ks. S. Rostkowskiego (1822) „Krótki zbiór uwag o stylu i jego różności dla użytku uczącej się młodzieży zebrany”.

Jest rzeczą zrozumiałą, że im bliżej połowy XIX wieku, zainteresowania stylem wyrażają się, martwieją w schematy. Po bujnym okresie następuje powolny upadek, widoczny naturalnie przede wszystkim w podręcznikach szkolnych, ale diażąc ma to badaczom zasłaniać stan faktyczny?

Tych kilka pozycji bibliograficznych, wyrwanych z potoku innych, wskazuje, że Przyborowski miał w dziełach traktujących o literaturze dość materiału i dostateczną tradycję, żeby na ich podstawie swobodnie posłużyć się terminem „język”. Nie mógł wywyższać go nad termin „styl”, gdyż oba jednakowe mają obywatelstwo i żadne nie jest tam ani gorsze, ani lepsze. Jeśli go jednak użył, to dlatego że sam był przede wszystkim językoznawcą z fachu, gdyby zaś użył terminu „styl”, musiałby wziąć na siebie zobowiązania poznawcze obszerniejsze, do czego, zdaje mi się, nie był w pełni przygotowany. Nie ma u niego intencji pogardzenia stylistyką, które mu Budzyk przypisuje. Nazwanie rozprawy Przyborowskiego „pierwszym krokiem” i słupem granicznym w dziejach stylistyki jest bardzo ryzykowne, a w zestawieniu z faktami nieprzekonywujące.

Znakiem odrodzenia się tradycyjnej stylistyki w początkach wieku XX są prace Wójcickiego. Choć wśląkały w społeczeństwo i odegrały znaczną rolę w nauczaniu szkolnym, w nauce, nastawionej filologicznie i genetycznie, traktowano je jako coś uboższego, nie szczególnie ważnego i wątpliwego. Korbut nie wymienia go nawet w swej bibliografii. Nie Komarnickiemu, lecz właśnie Wójcickiemu zawdzięczamy, że polska stylistyka tradycyjna weszła na współczesne tory. Wójcicki ją odrodził, ale się jej nie przeciwstawił. Dzięki wybitnym zdolnościom poznawczym, subtelności smaku, przenikliwości umysłu, zrozumieniu dla zagadnień wartości i najnowszych zdobyczy stylistyki, głównie, jak się zdaje, francuskiej, zresztą też na ogół tradycyjnej, znakomitemu wreszcie opanowaniu metod współczesnego badania tchnął w starą tradycyjną stylistykę nowe życie. Niemal rolę odegrała niewątpliwie estetyka Młodej Polski, przejawiającej silne zainteresowania sprawami stylu, stylistyki i innych zagadnień sztuki. Wystarczy przejrzeć obfitą po nim puściznę, by stwierdzić, że to, co w niej jest nowe, nie przeciwstawia się tradycji, lecz ją rozwija, wzbogaca, wysubtelnia i precyzuje.

Tak to formalizująca postawa z jej ahistoryzmem, uprzedzenie wypływające ze zbyt ostro zarysowanego programu, wreszcie niekontrolowane, choć rzetelne i słusze uznanie dla Wójcickiego, skrzywiły Budzykowi perspektywę poznawczą. Moja krytyka nie zmniejsza bynajmniej do zarzucenia mu formalizmu. Nie tylko dlatego, że nie jest formalistą sensu stricto, że formalna metoda ma swoją głęboką i piękną tradycję i poważne zasługi (w Związku Radzieckim, np.

jeszcze teraz, w epoce poetyki socjologicznej, docenia się jej znaczenie, drukuje studia). Idzie o to, że podjąwszy się oświetlenia sprawy stylistyki historycznie, nie wszedł w głąb historii i nie zajął wobec niej naukowego stanowiska. Pisząc zarys dziejów stylistyki, zgłębiał nieobiektywnie zlekceważył jeden z najcharakterystyczniejszych, o dużym znaczeniu okresów, wskutek czego wyrzucił kilkadziesiąt długich lat i dobrych kilkadziesiąt pozycji bibliograficznych. Jedne zjawiska przenił, innych nie docenił, wreszcie wybitnego znawcę i badacza stylu opisał i zaklasyfikował w kategoriach mu obcych.

Zdaje się również, że Budzyk zasugerował się zbyt silnie pozytywistycznym przeświadczeniem o naukowości językoznawstwa w porównaniu z badaniami literackimi. Nie jest tak idealnie w dziedzinie pierwszej, ani tak źle w drugiej, każda zresztą ma inny sposób ujmowania przedmiotu i rozwiązywania zagadnień. Pracując nad „Chłopami” Reymonta, z językoznawstwem zetknęłam się bardzo blisko i przeszedł mi całkowicie mój polonistyczny kompleks mniejszości. Sami językoznawcy nie cierpią na nadmiar krytycyzmu, ani jeśli idzie o metodologię badań, ani jeśli idzie o ścisłość wygłaszanych poglądów, choć czasem by się im ona przydała. Budzyk, wydaje mi się, przecenia rolę językoznawstwa w badaniach literackich. Dzieje tych nauk od dawna są ze sobą ściśle związane, mierzą się raczej, i słusznie, do coraz większej ich specjalizacji. Nie widzę też nic szczególnie wielkiego czy ważnego, co by urodziło się z dotychczasowego długiego współżycia. A przecież niejedyn językoznawca był badaczem literatury i odwrotnie. Nie przeczę, oczywiście, że jest to jedna z naszych kardynalnych nauk pomocniczych, lecz nie czerpałabym stamtąd wzorów, ani nie szukałabym tam natchnień twórczych. Zresztą wywody Budzyka nie mówią jasno, jakie to zapładniające idee tłumaczenia zjawisk literackich powstać mogą z tego źródła.

Mimo silnie zaznaczonej się programowości Budzyk w tym tak bardzo interesującym tomie studii, zawierającym aż cztery jego rozprawy, nie zajmuje bynajmniej jakiejś jednolitej postawy metodologicznej — badawczej. Krytykując we wstępie artykuły innych — jednym zarzuca zbyt formalizm, drugim za ostre i zbyt wyłączone stanowisko językoznawcze, trzecim postawę idealistyczną — sam z żadnego jednolitego zarysowanego systemu nie wychodzi, a nazwa strukturalistyczna, którą sobie przydaje, nie określa go moim zdaniem właściwie. Świadczy to, że nie osiągnął jeszcze kresu równowagi poznawczej, że ma zbyt wielki respekt dla programu, mniejszy natomiast dla skutków poznania i osiągniętych wyników. W takim momencie nieokreślenia i niepewności ostatecznych kierunków własnej metody poznania znaleźć się musi każdy rzetelny i ambitny badacz. Droga bezwładu prowadzi zazwyczaj do eklektyzmu. Budzyk słusznie zarzuca eklektyzm rozprawie Skwarczyńskiej o makaronizmach, należało jednak też rozprawy w zbiorze zamieścić przede wszystkim dlatego, żeby czytelnik mógł sprawdzić, o ile słuszna jest ta ostra i szczegółowa krytyka.

Jedną z najbardziej pociągających stron tej rozprawy, to jej żywość. Wszystkie prawie artykuły z coraz innym punktu widzenia zaczepiają stale o ten sam problem — jedne teoretycznie, inne praktycznie. Redaktor i współautor nie jest bynajmniej mediatorem, godziwcem. Przeważnie, sam dolewa oliwy do ognia, co i ja dziś starałam się uczynić. Jednocześnie widać wysiłki oddania, co komu należy. Jeśli nie zawsze i nie stale, trudno: jest to ognisko dyskusji, a dyskusja i polemika mają swoje prawa. Bardzo też dobrze, że tom zawiera bibliograficzne zestawienie, oczywiście niekompletne, ale autor sam o tym uprzedza.

Mimo zastrzeżeń, najwartościowszą stroną książki jest wyraźne, a nawet bardzo wyraziste zarysowanie systemów stylistycznych i kierunków naukowych. Zwążywszy, że książka daje trudne dostępną studia wybitnych starszych i młodszych badaczy, że przez ujęcie i interpretację materiału przebiega żywa, przenikliwa myśl twórcza, swoim przedmiotem głęboko zainteresowana, musimy powiedzieć, że jest to zjawisko życia naukowego bardzo godne uwagi i zastanowienia.

Rzecz powinna przynieść poważne korzyści wszystkim specjalistom i badaczom literatury, jak również językoznawcom. Nie mówiąc już o studentach polonistyki, nauczycielach i dojrzałych uczniach wyższych klas i wreszcie o tych wszystkich, którym zagadnienia literackie i humanistyczne nie są obce. Zarówno redaktorowi za podjęcie tak na pozór mało oświecającej inicjatywy, bo dotyczącej dziedziny specjalnej i to prawie wyłącznie przedruków, jak też firmie wydawniczej za piękną papier i staranną szatę graficzną należą się słowa rzetelnego uznania. Oby takich inicjatyw było więcej!

Maria Rzeuska

## „Przez 10 wojen” Koźniewskiego

Książka Koźniewskiego o podróży „przez 10 wojen”<sup>1)</sup> jest przedstawicielką mało uprawianego u nas rodzaju literatury wojennej; opisuje wojnę nie od strony frontów, bombardowań, ataków i huku armat, ale od jej tyłów i kulturalnych, o które ocierał się Koźniewski w swej osobliwej podróży wiosną, latem i jesienią 1941 roku jako łącznik. Przeprowadził się przez kilkanaście granic, kilkanaście rozmaicie odczuwających wojnę krajów, z Londynu przez Afrykę Zachodnią, Srodkową i Sudan dostał się do Egiptu, aby przez Turcję udać się do centrali kurierów — Budapesztu. Niestety, zaopatrzone w paszport jakiegoś południowo-amerykańskiego dyplomaty, łącznik nasz po przybyciu do Budapesztu wpadł w ręce policji węgierskiej i na tym się część przygody opisana w „Przez 10 wojen”, kończy. Mamy nadzieję, że jeszcze ukaze się ich zakończenie.

Świat kulisów wojny, łączników, kurierów, emisariuszy, przypominający poczyni mu świat szpiegów, Intelligence Service, X-27, Matę Hari — to nieżył i za granicą oddawał uprawiany temat literacki. U nas służbę kurierów spiskowych, „emisariuszy”, otaczał swoisty nimo, czego narodowe zamiłowanie do konspiracji było niemalą przyczyną. Emisariusze z Towarzystwa Demokratycznego (wiersz Anczyca o Demobowskim!), wspaniałe fragmenty pamiętnika T. T. Jeża, poświęcone jego ciągłym wędrówkom przez wszystkie „zielone granice”, opiewane przez pokolenie Strugów i Daniłowiczów per petle graniczne bojowniców rewolucyjnych PFS z 1905 roku, przekładanie się przez dwa fronty łączników z polskich organizacji wojskowych z 1914—1918, romantyzm „zielonej granicy”, nimb tajemniczości otaczający jej rycerzy — konspiratorów, to wymarzoną kanwą dla literatury.

Dziwne, że dotąd tego olbrzymiego kapitału tematów, jakim w latach okupacji hitlerowskiej była organizacja „przerzutu” z kraju przez Tatry i Bałkany ku ośrodkom wojskowym i cywilnym na emigracji i przygody łączników godne niejednego wielkiego p.óra, nie wyszukało w literaturze. Na emigracji w fragmencie powieściowym „Cztery jesienie” Kaltenbergh pokusił się o oddanie romantyzmu „ludzi na szlakach”, dziwnych środowisk, ludzi nieznających granic, paszportów ani własnych nazwisk. O romantyzmie łączników tatrzańskich w czasie minionej wojny wspominał

1) Kazimierz Koźniewski. Przez dziesięć wojen. (Kraków „Czytelnik”, 1947; str. 285 i 1 n.

## Wieczory chopinowskie w Pradze

Praga, w styczniu 1948 r.

W czasie okupacji niemieckiej soliści i zespoły czeskie mogli wprawdzie występować publicznie, ale z rozkazu okupanta musieli skreślić z programów utwory kompozytorów słowiańskich. Dźwięki muzyki słowiańskiej rozbrzmiewały tylko za szczerze zamkniętymi drzwiami mieszkań prywatnych. Naturalną reakcją po odzyskaniu niepodległości było usunięcie na przeciw dwu lat z programów koncertowych kompozytorów niemieckich i wypelnienie ich muzyką słowiańską.

Obudziło się żywe zainteresowanie życiem muzycznym ziem słowiańskich w czasie okupacji, a zwłaszcza sąsiadującej z nami Polski. Dopytywano się o rozwój współczesnej muzyki polskiej, o nazwiska nowych kompozytorów, o ich dzieła. Publiczność koncertowa interesowała się poziomem polskiej muzyki-wykonawcy i zwłaszcza fachowcy i melomani zadawali pytania: jak Polacy grają dziś Chopina.

Toteż prawdziwą atrakcją pośród polskich imprez artystycznych w Pradze stał się cykl koncertów Chopina w wykonaniu trzech pianistów polskich: H. Sztompki, Z. Drzewieckiego i J. Ekiera.

Trzeba z góry powiedzieć, że pomysł był szczęśliwy, a impreza niezwykle się udała. Chopin bowiem ma wielu wielbicieli zarówno wśród czeskich słuchaczy, jak i pianistów, z których kilku — jak Svihlíkova, Rauch, Jilek — specjalizuje się w jego muzyce. Dowodem tego żywego wśród Czechów zainteresowania jest również ukazanie się dwu monografi o polskim kompozytorze: S. Hippmana „Fryderyk Chopin” w serii „Kto jest”, wydanej przez „Orbis”, i R. Louckiego „Chopin”, poeta dźwięku” nakładem spółdzielni wydawniczej „Maj”.

Cykl koncertów Chopina zainaugurował uroczysty koncert filharmonii czeskiej, zorganizowany w ramach dorocznego imprezy „Rady sztuki”. Na koncercie, na którym pod batutą Rafała Kubelika H. Sztompka odegrał koncert f-moll Chopina, obecna była pani Hanna Beneszowa, żona prezydenta. Sztompka ol-

Wi. Wnuk. Ale całości dotąd nie utrwalono. Bo nie można chyba nazwać utworem literackim bzdury powieściowej „Spotkamy się w Budapeszcie”, drukowanej w „Expresie Wieczornym”, gdzie perypetie łączników między krajem a Budapesztem traktuje się jako sensacyjną przygodę o posmaku szpiegowsko-erotycznym.

Jedyną próbą literackiego ujęcia tego klimatu ludzi ze szlaków, łączników i spiskowców, jest lekka opowieść Koźniewskiego „Szczotka do butów”. Dobrze zauważył któryś z krytyków, że Koźniewski, mimo fantazji, ba nawet sensacyjności, zachowuje w „Szczotce do butów” harcerski stosunek do przygody, które traktuje jak „Wielkie Przygody”, część pełni życia. Tak też jest. Pozukiwanie „Wielkiej Przygody” na wszystkich szlakach świata, w każdej służbie kurierskiej i łącznikowej to jeden z głównych kanonów polskiej tradycji skautowej, a pamięć postaci i czynów Andrzeja Małkowskiego była wzorem dla wszystkich harcerzy, którzy z polecaniami, listami i rozkazami przekradali się w ciągu minionej wojny przez wszystkie „zielone granice”, linie demarkacyjne i fronty. Koźniewski jest dziedzicem tej tradycji, nazwijmy ją „harcersko-romantycznej”. Mówi o wpływach, które mogły oddziaływać i oddziaływały na tego młodego pisarza i publicystę, nie można pominąć i dalekiego wpływu Andrzeja Małkowskiego.

„Szczotka do butów” to była fantazja. „Przez 10 wojen”, tak jak i poprzedzający ją „Rok ziemi obcej”, jest opowieścią pamiętnikarską. Cechuje ją, tak samo jak i poprzednie rzeczy, żywiołowe uwielbienie przygody, wyławianie romantyzmu w ciągłych zmianach miejsca pobytu, ludzi, otoczenia, klimatu, środowiska. Świętna obserwacja środowisk obcych, doskonała charakterystyka polskich skupisk emigracyjnych stwarza z tej książki niejako dokument jednego fragmentu naszych dziejów polityczno-wojennych w pierwszych latach minionej konfliktu.

Niektóre fragmenty, np. opis „bazy stambulskiej”, głównego ośrodka i centrali szlaków łącznikowych, wiążących wówczas poprzez Budapeszt cywilne i wojskowe ośrodki dyspozycyjne na emigracji z krajem, teren krzyżowania się tysięcy wpływów, wywiadów, akcji, dywersji — są wyjątkowo ciekawe.

Styl Koźniewskiego prosty, lekki, żywy, narzędnym narzędziem, pogodny, obrazowy, jest też — „harcerski”.

Jan Reylichman

śnił nas gra, a owacje, jakie zgotowała mu publiczność, były zapowiedzią powodzenia dalszych jego występów.

Wszystkie trzy recitale chopinowskie (14 listopada H. Sztompka, 28 listopada Z. Drzewiecki, 5 grudnia J. Ekier) odbyły się w reprezentacyjnej sali koncertowej im. Fryderyka Smetany z licznym udziałem publiczności. Należy to szczególnie podkreślić, ponieważ w Pradze, w której niemal codziennie jest kilka koncertów, nie łatwo o taką frekwencję.

To, że w programie trzech artystów znalazły się te same utwory Chopina (sonata b-moll i polonez es-moll), pozwoliło słuchaczom poznać i ocenić technikę gry wykonawców.

Sztompka porwał czeskiego słuchacza lekką, nie pedantyczną techniką, bezpośrednią i głęboko przekonującą grą. „Grat dla siebie, jakby nie było słuchaczy” — wyraził się o nim pewien krytyk.

Gra Drzewieckiego wyrażała polski romantyzm. Krytyka i publiczność zgodnie entuzjastycznie się miłkłym brzmieniem jego pasażi i wykonaniem polonezu es-moll, który spod palców mistrza rozbrzmiewał melancholijnym wdziękiem dawnych czasów.

Ekier natomiast zrobił słuchaczom niespodziankę. Sala musiała się wprawić oświadczyć, że w jego pozornie chłodną grę, zanim zrozumiała, że ten niewątpliwie nieprzeciętny wykonawca Bacha — odkrył jej Chopina nowego, pełnego klasycznego spokoju. Burza oklasków rosła. Po niezliczonych „bisach” Ekier grał przy zgłoszonych kinkietach, a bileterzy namawiali do rozejsia się grupkę niesyconych słuchaczy.

Poznaliśmy w ciągu roku polskich dyrygentów (Górzynskiego, Kleckiego, Rowickiego), polskich pianistów (Blochmana, Gorbatego, Szpilmana i już wymienionych) i skrzypków (Umińskiego).

Czekamy teraz na przedstawicieli polskiej pieśni, zwłaszcza ciekawo byłibyśmy usłyszeli nieznaną u nas Turską-Budowską.

Helena Teigova



Kartki z dziennika lektury

„SYZYFOWE PRACE“

Od pierwszego wydania „Syzyfowych prac“ mijają pięćdziesiąt lat. W tym samym roku, 1898, Berent wydaje „Fachowca“, Weissenhoff „Żywy i myśli Zygmunta Podfilipskiego“, Kasprowicz tom poezji „Krzak dzikiej róży“, ukazują się również pierwsze nowele Orkana, a w Krakowie odbywa się premiera „Warszawiaki“. Jeśli jednak już w roku następnym panna Celina Mroczykówna z „Nocy i dni“ Dąbrowskiej będzie mogła przeżywać wiele uniesień przy lekturze „Nad morzem“ Przybyszewskiego, to w tymże samym czasie Dygański publikuje szereg swoich naturalistycznych opowieści, a wielobitne Sienkiewiczza czytują się „Kryzysami“, drukowanymi w warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym“.

\*) Stefan Żeromski. Syzyfowe prace, Powieść współczesna. Warszawa. „Czytelnik“, 1947; str. 246 i 2 nl.

romskiego sąsiadują z „Faraonem“, z „Quo Vadis“ i z Orzeszkowej „Australczykiem“. Ale jakże im jeszcze, tym twórczym początkom Żeromskiego, daleko do późniejszych lirycznych dywagacji z „Dumy o hetmanie“ czy z „Róży“. W pierwszym okresie swojej twórczości aż po „Ludzi bezdomnych“ Żeromski wydaje się o wiele bliższy wielkim pozytywistom niż takim swoim rówieśnikom, jak Przybyszewski lub Tetmajer. Z Prusem przede wszystkim i Orzeszkową łączą go umysłowość racjonalistyczna, podobne pojmowanie społecznych obowiązków pisarza, czujność wobec problemów społecznych, wreszcie i artystyczny spojrzeń na rzeczywistość podobne, ugruntowane na technice realistycznego opisu.

decydujące, tracą swoje znaczenie pierwotne, i z odartej z tych wyjątkowych atrybutów powieści pozostaje, oprócz dokumentu epoki, książka daleka niestety od doskonałości, pełna luk i skaz, słaboznaczna jak gdyby pewnym niecierpliwym pospiechem w pisaniu, niedostatecznie przez autora przemyślana i niedbale skomponowana.

ważnej postaci Radka), a przede wszystkim brak wyraźnej przemysłowej i skrytalizowanej koncepcji całości. Jak na powieść o dwóch walczących ze sobą zbiorowościach: nauczycielskim i uczniowskim, nieco powierzchownie prześlizguje się Żeromski zwłaszcza za środowisku młodzieży. O ile postacie profesorów są uwzględnione i liczone i z wieloma odcieniami psychologicznymi, poza Zygierem, Waleckim, Radkiem i Marcinem Borowiczem nie ma właściwie w „Syzyfowych pracach“ innych uczniów plastycznie zarysowanych i indywidualizowanych. Jeśli się zaś uzna, że centralną postacią powieści jest Marcin Borowicz, wówczas dzieje jego rozwoju na przestrzeni dziesięciu lat również wydadają się powierzchowne, zbyt jednostronnie podporządkowane jednemu wątkowi: rusyfikacji i późniejszej z nią walce. W czasach, gdy Żeromski pisał „Syzyfowe prace“, prostolinijność ta, służąc określonemu i pozartystycznemu celowi, mogła potęgować sugestywność powieści. Dzisiaj jednak to właśnie, co było jej aktualną zaletą, sprawia wrażenie braku. Niedostaje „Syzyfowym pracom“ szerszego oddechu, bogactwa realiów, epickiej rozległości i głębszego i wszechstronniejszego wnikięcia w przeżycia i doświadczenia bohaterów, tych więc właśnie powieściowych elementów, po które z powodzeniem sięgnie Żeromski w „Ludziach bezdomnych“, a jeszcze pełniejszy im da wyraz w „Popiołach“. Podtytuł „Syzyfowych prac“ — powieść współczesna — nie wydaje się z perspektywy czasu najwłaściwszy. O ileż słuszniej byłoby traktować tę książkę jako cykl opowiadań połączonych wspólnym tematyicznym wątkiem i tymi samymi postaciami. „Syzyfowe prace“ nie na tym nie słucha, przeciwnie — doskonałość artystyczna ich poszczególnych rozdziałów wówczas dopiero stanie się przejrzysta i kompozycyjnie usprawiedliwiona.

Jerzy Andrzejewski

Notatnik muzyczny

O patetycznym kłamcy i XVI koncercie symfonicznym

Sztuka chińska i hinduska utrwała i zachowała po dziś dzień wybrane od dziesięciowiekowiek formy i dzieła. Ceramika, hafty, malarstwo, architektura, poezja, taniec i muzyka mają tam swoje prawidła, od których nawet drobne odstępstwo zwraca całą równowagę, nastroj i treść dzieła. Przypomina to naszą sztukę antyczną, bizantyjską i średniowieczną. W muzyce prawidła te zachowały się jeszcze dłużej. Polifoniczne kompozycje mistrzów niderlandzkich oraz szkoła włoska, francuska i niemiecka rozwijały się tuż z syczej od wielkich epok mironych, rządzący się jednak prawidłami, które ledwie z wieku na wiek, co dwa lub trzy pokolenia, ulegały zmianom. Czasy takie, w których sztuka rządzi się ściśle ustalonymi prawidłami, nazywamy klasycznymi.

lobną. Ale Bach pomyślał widocznie o śmierci i potrafił stworzyć owo patetyczne kłamstwo, o którym mówił prof. Mallick na podstawie starych już doświadczeń i odwiecznej wiedzy. Zbiega się to w zdumiewający sposób z zasadami Arysotelesa, gdy pisze o muzyce, zbiega się to z całą praktyką greckich i średniowiecznych zasad używania tonacji i formuł dla wyrażania stanów uczuciowych.

W Filharmonii warszawskiej wykonano program złożony z polonezów Ogińskiego w układzie Palestra, z Koncertu fortepianowego Ravela w bardzo dobrym wykonaniu Marii Wilkomirskiej i III Symfonii „Eroica“ Beethovena, pod batutą Mieczysława Mierzejewskiego. M. Wilkomirska pokazała więcej niż opanowanie strony technicznej. Elementy uczucia, figuracje i ravelowskie niespodzianki tworzyły w jej wykonaniu jednolitą i logiczną muzykę całość.

spokojnego w gruncie szukania barwy, z długą linią melodyjną środkowej części, adagio assai. Mierzejewski pokonał piętrzące się przed orkiestrą niesychane trudności tego dzieła, które wymagał wirtuozerii nie tylko pianisty, lecz i innych instrumentalistów. „Eroica“, operująca tak innym od tamtych dzieł językiem, nadaje się raczej na początek programu pomimo swej masy dźwiękowej. Po ravelowskiej zwięzłości i błyskotliwości jej rozbudowane do niezmiernych granic okresy dłużej się. Niech padną gromy tych, którzy to odczuwają inaczej.

Zygmunt Mycielski

Tydzień bibliograficzny

NAUKA, KULTURA

Polskie prawo biblioteczne. Zbiór przepisów prawnych dotyczących bibliotek. Zebrał i wydał Antoni Kncł. Wrocław, Książnica - Atlas, 1947; str. 215 i 1 nl.

HISTORIA

Janina Mirzyńska - Zygmńska. Wielkopolska w powstaniu kościuszkowskim. Poznań, Księgarnia Ziem Zachodnich, 1947; str. 189 i 3 nl. i 2 knl.

Biblioteka Gdańska. Seria monografii. Nr 1. Marian Pelczar. Polski Gdańsk. Gdańsk, Biblioteka Miejska, 1947; str. 2 nl. i 187 i 5 nl.

Jerzy Pławewski. Druga wojna światowa. Chronologiczne zestawienie zdarzeń od Monachium do Poczdamu. 28. XI. 1938 — 2. VIII. 1945. Łódź, „Poligrafika“. 1947; str. 252 i 4 nl.

LITERATURA

Jo van Ammers-Küller. Taniec wokół gilotyny. Wydanie drugie. Przekład Henryka Leśniewskiego. Wrocław, Książnica - Atlas, 1947; str. 459 i 1 nl.

Agatha Christie. Piąta kolumna. Powieść. Tłumaczył Tadeusz Świeściak. Katowice, Awir, 1947; str. 245 i 3 nl.

Tadeusz Dolega-Mostowicz. Pamiętniki pani Hanki. Kraków, „Przełom“, 1948; str. 376 i 2 nl.

Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy. Nr 20. Aleksander Fredro. Słuchaj pani, czyli magnetyzm, że to niewiarygodne, że on się na prawdę do tego stopnia wzruszył śmiercią królowej Marii Krystyny, by aż skomponował kantatę za-

Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy. Nr 19. Jan Kochanowski. Odprawa posłów greckich. Opracował Stanisław Łempicki. Kraków, M. Kot, 1947; str. 40.

Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy. Nr 18. Jan Kochanowski. Treny. Opracował Tadeusz Ulewicz. Kraków, M. Kot, 1947; str. 40.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. 17. Maria Konopnicka. Poezje. Wybór dla kl. III szkoły podstawowej. Opracowała Zofia Rottetewa. Warszawa, „Książnica“, 1947; str. XI i 1 nl. i 48 i 4 nl.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. 12. Ignacy Krasicki. Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki. Opracował Stanisław Adamczewski. Warszawa, „Książka“, 1947; str. XI i 1 nl. i 123 i 5 nl.

Irena Krzywicka. Tajemna przemoc. Katowice, Awir, 1947; str. 175 i 1 nl.

Tadeusz Kudliński. Świętokrzęca. Powieść. Wrocław, Książnica-Atlas, 1947; str. 436.

Simclair Lewis. Małżeństwa. Powieść. Tłumaczył Marian Promiński. Katowice, Awir, 1947; str. 367 i 1 nl.

Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy. Nr 17. Adam Mickiewicz. Wybór poezji. Opracował Józef Szykowski. Kraków, M. Kot, 1947; str. 88.

Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy. Nr 4. Władysław Syrokoma. Urczynom Jan Deboróg. Dzieje jego rodu, głowy i serca przez niego samego opowiedane i Wybór liryk. Opracowała Mieczysława Romanówna. Kraków, M. Kot, 1947; str. 111 i 1 nl.

wał Stanisław Pigoń. Kraków, M. Kot, 1947; str. 63 i 1 nl.

Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy. Nr 34. Julian Niemcewicz. Powrót posła. Komedja w trzech aktach. Opracowała Irena Turowska-Barowa. Kraków, M. Kot, 1947; str. 80.

Mała Biblioteczka „Książki“. Bolesław Prus. (Aleksander Głowacki). Powracająca fala. Wydanie drugie. Warszawa, „Książka“, 1947; str. 83.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. 16. Mieczysław Romanowski. Wybór poezji. Opracowała Helena E. Kurkowska. Warszawa, „Książka“, 1947; str. XVI i 2 nl. i 143 i 5 nl.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. 23. Juliusz Słowacki. Anelli. Opracował Juliusz W. Gomulcki. Wstępem opatrzył Jan Zygmunt Jakubowski. Warszawa, „Książka“, 1947; str. XIII i 3 nl. i 57 i 1 nl.

Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy. Nr 3. Juliusz Słowacki. Beniowski. Poemat. Pięć pierwszych pieśni. Opracował Andrzej Górski. Postawie napisał Artur Górski. Kraków, M. Kot, 1947; str. 119 i 1 nl.

Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy. Nr 13. Juliusz Słowacki. Kordian. Opracował Józef Szykowski. Kraków, M. Kot, 1947; str. 128.

Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy. Nr 4. Władysław Syrokoma. Urczynom Jan Deboróg. Dzieje jego rodu, głowy i serca przez niego samego opowiedane i Wybór liryk. Opracowała Mieczysława Romanówna. Kraków, M. Kot, 1947; str. 111 i 1 nl.

Rozpoczął Paukszta...

Powieść Eugeniusza Paukszty \*) to wydarzenie kulturalnie ważne i nie będzie dobrze, jeśli się spotka z lekceważeniem opinii publicznej, czy też — co gorsze — zaszereguje się ją niewłaściwie w hierarchii dzisiejszej literatury.

Książka Paukszty, której akcja rozgrywa się w latach 1945-46 na Mazurach, we wsi zamieszkałej przez Polaków-autochtonów i przez repatriantów z Wilenszczyzny, ma dla nas znaczenie jako pierwsza powieściowa — do tej pory były utwory publicystyczne — próba ujęcia sprawy współzycia repatriantów i autochtonów na Ziemiach Odzyskanych. Nie tylko Paukszta zainteresował się tematem Ziemi Odzyskanych; jak pisze Jan Brzoza, Jerzy Fytlakowski ogłasza obszernie fragmenty swych „Fundamentów“ — ale Paukszta pierwszy dał czytelnikom książkową całość. Debiut — jak każdy debiut — wymaga na równi surowości, jak pobłażliwości. Surowości — dla startującego pisarza ważne jest przede wszystkim uświadomienie sobie własnych braków i osiągnięć. Pobłażliwości — w naszej sytuacji kulturalno-literackiej — ale wolno nikogo zniechęcać, gdy chce tworzyć i pisać. Każdy nowy piszący jest niewątpliwie potrzebny.

Gdy zamykamy ostatnią kartkę książki Paukszty, od razu narzuca się nam pierwsza uwaga: forma wydania kieruje ją pod złym adresem. Wydanie jest solidne, porządne i zupełnie nieporęczne. Mały format, papier oraz szeroki druk sprawiły, że tom jest gruby i kosztowny, przeznaczony przede wszystkim dla miłego inteligenta. Książkę należało wydać popularnie, najbardziej popularnie.

W sędzi o powieści Paukszty należy wyraźnie uwzględnić dwie sprawy: formalno-literacką oraz założenia ideowe, tendencyjne.

Jeśli idzie o jej wartość artystyczną, książka jest słaba. Z punktu widzenia ideowego, merytorycznego — jeśli tak rzecz można — porusza problemy istotne i jej oddziaływanie społeczne może być szerokie i korzystne.

Mazury to spośród innych Ziemi Odzyskanych — kraja najbardziej dramatyczna. Mazury najdłużej pozostawały w niemieckiej niewoli i tu proces germanizacji był najsilniejszy. Konflikt między dwiema grupami polskimi — autochtonów i repatriantów czy przesiedleńców — jest tutaj najbardziej zastrzyony, najbardziej drastyczny. Ziemia ta była również pierwszą krajem niemiecką, na którą wszedł żołnierz radziecki, niosący w swej duszy żągiem zemsty za doznane krzywdy.

Paukszta te dramatyczne zauważył i zarejestrował fabularnie w swej powieści. Nie potrafił — może zresztą nie chciał — przeopić nią atmosfery powieści. Tytuł „Trud ziemi nowej“ kryje sielankę — wszystko jest tu dobroduszkowe, naiwne. Postacie ludzkie schematyczne i papierowe, bezgranicznie konwencjonalne — konwencjonalnością złych i dobrych charakterów, jaką spotykamy w nowelach popularnych kalendarzy sprzed kilkudziesięciu lat. Wszystko dobrze się składa, wszystkim Bóg błogosławi. Szlachetny, ale naiwny optymizm autora znalazł swój pełny wyraz w konstrukcji fabuły i w psychologii bohaterów.

Niefortunnie wypadła u Paukszty próba języka. Język powieści — to bodaj jedna z najtrudniejszych decyzji, przed jaką stoi autor. Nie ma on żadnego rygoru. Można całą książkę napisać gwara, można literackim językiem. Można wprowadzić stylizację dialogów, rozmów, a opisy utrzymać w języku literackim; można wreszcie całość podkolocolować z lekką gwara re-

\*) Eugeniusz Paukszta. Trud ziemi nowej. Powieść. (Poznań), Księgarnia Ziemi Zachodnich. 1948; str. 488.

gionalną, ale nie należy mieszać wszystkiego razem, bez planu i ładu. Zresztą wybór języka, tak autora jak i jego bohatera, jest rzeczą trudną i nie należy zbyt prędko i pochopnie porzucić twardego gruntu języka literackiego.

O ile charakterystyki ludzi u Paukszty kuleją, o tyle doskonałe są opisy przyrody, szczególnie lasów, zagajników, jezior. Pisarz ten ma malerskie oko i duszę rozumiejącą naturę. Jest to zaleta tym istotniejsza, im bardziej pisarstwo nasze, przeważnie tworzone przez ludzi z miasta, ubogie jest w obrazy przyrody. Ciekawe, że obaj autorzy pochodzący z Wilenszczyzny, Golubiew i Paukszta, odznaczają się tą szeroką skłają wrziliwości na naturę. Niestety Paukszta święte swoje opisy rozmieszcza w powieści według żelaznej recepty staroliterackiej: przyroda ilustruje nastroj bohatera.

Nie będę daleki od prawdy, jeśli powiem, że powieść ta wyrosta jako produkt zamówienia społecznego, a nie artystycznej potrzeby pisarza. Zamówieniem społecznym była dążność do załagodzenia konfliktu między repatriantami a autochtonami. Konfliktu oczywiście znacznie szerszego niż teren Mazur czy Warmii, bo obejmującego całość Ziemi Odzyskanych, którego źródła biją często na ziemiach starych. Gdy pół roku temu autor recenzji starał się na łamach „Przekroju“ obiektywnie i bezstronnie zreferować tragedię Mazurów, dostał parę dziesiątków listów z całej Polski; plugawie wymyślających na ludność autochtonską Mazur, Gólszczyznę, Dolinę Śląska, a nawet Pomorzyc Zachodniego.

Paukszta pragnął całej Polsce pokazać sprawę Mazurów. Ujął się za nimi ostro i zdecydowanie. Nie wahał się — i osobście uważam to za najwyższy walor książki — napiętnować „dranństwa“, jakie spotkało ludność mieszkającą ze strony niektórych przybyłych Polaków. Nie zataił zbrodni, kantów, protekcjonizmu, błędów popełnionych przez władze administracyjne. Równocześnie wyidealizował Mazurów. W ogóle w książce Paukszty wszyscy jego bohaterowie, Polacy i Mazurzy, są bardzo „idealni“ — o draniach, złodziejach, świństwach, kantach, niemieckich sabotażach tylko się opowiada. Nawet zniemczony Polak Hansa, os powieściowej intrygi, nie pokazał autor wcale ani razu. Paukszta, nie tając dramatu tej ziemi, napisał o nim sielankę. Efekt pod względem artystycznym papierowy. Ale takie „idealne“ potraktowanie sprawy może się okazać bardzo przydatne i użyteczne społeczeństwu. Należy tylko książkę skierować pod właściwym adresem.

Powieść Paukszty, odpowiednio wydana i rozkolportowana, powinna przede wszystkim trafić do rąk ludności autochtonskiej na Ziemiach Odzyskanych. Tej ludności, która dopiero poznaje sprawy polskie i która może z tej książki się przekonać że polski pisarz ma nieco inny poglad na te sprawy niż sasiad zza miedzy, z którym walczy się o oborę czy świniaka, albo urzędnik w powiatowym miasteczku, na frakcji przy autochtonów nicyzm volksdeutschow. Tak wykorzystana książka Paukszty może odegrać znaczną rolę w początkowym procesie asymilacji.

Z tą samą zresztą intencją można ją oddać innym czytelnikom, nie autochtonom. Niestety bardziej wyrobionych odstraszy swa konwencjonalną schematycznością i papierowym dydaktyzmem. Mimo to dobrze się stało, że Paukszta wydał swa powieść, gdyż poruszył w niej zagadnienie ważne: asymilowania się repatriantów w ich nowej ojczyźnie oraz wzajemnego zżywania się obu grup polskiej ludności.

Kazimierz Koźniewski

DEKLARACJA

Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia“ i zobowiązuję się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł 1800 rocznie, piątnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić).  
Moje prawa i obowiązki są mi znane.  
Imię i nazwisko .....  
Adres .....  
(podpis)  
Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem: Warszawa, Daszyńskiego 14, Klub Literacki „Odrodzenia“.

Prenumeratorky już otrzymali pierwszy numer nowego DWUTYGDNIKA PRZEGLĄD MIĘDZYNARODOWY w treści: wywiad z min. Modzelewskim  
Nakład ograniczony. Prenumerata kwartalna złotych 300.—  
Administracja: Aleje Jerozolimskie Nr. 55  
Zamówienia na odrocie blankietu P. K. O 1 - 6788 wraz z wpłatą należności



## Kącik członków KLUBU LITERACKIEGO „ODRODZENIA“

Rozpoczynamy ten kącik klubowy od serdecznego powitania ósmu tysięcy członków naszego Klubu. Sukces ten jest najlepszym dowodem zrozumienia naszej akcji przez rzeszę naszych sympatyków i czytelników. Zapewne wszystkich zainteresuje odpowiedź na pytanie, skąd się rekrutują nasi członkowie. Podajemy krótki wykaz, oparty na pobieżnym obliczeniu:

Warszawa 17,5% członków  
Kraków 12%  
Poznań 2,5%  
Szczecin 2%  
Wrocław 4,5%  
Łódź 10%  
Katowice 1,5%  
Gdynia i Gdańsk 7%  
Małe miasta 29,5%  
Wieś 13,5%  
Ziemie Odzyskane 21,5%  
Ziemie Centralne 78,5%

Z tabelki tej można by wyciągnąć ciekawe wnioski o zainteresowaniu i czytelnictwie w większych miastach w ośrodkach mniejszych oraz wsiach. Uwagi na ten temat odkładamy jednak do chwili ukończenia szczegółowej statystyki.

Większość klubowców otrzymała już zapewne pierwszą książkę „Pożegnania” St. Dygata (oraz dawno zapowiadane legitymacje członkowskie).

W związku z pierwszą książką pragniemy aby czytelnicy dzielili się z redakcją swymi wrażeniami.

Z końcem roku Klubowego, kiedy czytelnicy będą już mieli w swojej bibliotece sześć nowych tomów, podyskutujemy o nich szerzej i zorganizujemy rodzaj plebiscytu, w którym wybierzemy najlepszą książkę klubową roku.

W tej chwili zasadniczą tendencją Klubu jest wydawanie książek współczesnych. Dlatego też na zapytania członków w sprawie wydawania klasyków odpowiadamy, że ograniczamy się w tym roku do zapowiedzianego planu, natomiast w latach następnych wydawanie klasyków nie jest wykluczone.

Z kwestii technicznych największą bolączką jest sprawa adresowania. Często klubowcy podają mylnie numer naszego konta, mieszając go z numerem konta tyg. „Odrodzenie”. Z drugiej strony niewyrażone i nieczytelne adresy domowe podawane przez członków Klubu mogą się stać przyczyną pomyłek pocztowych przy doręczaniu książki, których pragniemy uniknąć.

Oczywista, że nikt nie jest skrupolowy nad systemem i każdorazowo może to załatwiać w sposób dowolny, tj. raz przez księgarnię, a następnym razem np. przez P. K. O. itd.

Ponieważ wielu członków zwróciło się do nas z zapytaniem w sprawach wysyłki książek klubowych za granicę, przeto odpowiadamy:

W krajach, w których mamy swoich przedstawicieli, należy zwracać się do nich w sprawie zapisu i opłat członkowskich. Przedstawi-

ciele ci prześlą redakcji adresy prenumeratorów. Adresy naszych przedstawicieli są następujące:

Dr Bernard Przeworski, Flat B, second Floor 118, gt. Portland Street, London W. I.

Bibrowska Izabela 23 rue Taitbout, Paris 9.

Donat Aleksander 299 Madison Avenue, New York 17 N. Y.

Mgr. Halecki Jerzy — Praha II, La-Zboženy 13.

Z innych krajów należy zwracać się bezpośrednio do nas.

Jeżeli natomiast ktoś z kraju chce wysłać książki klubowe za granicę w formie podarunku — i zgłasza kogoś za granicę na członka klubu, regulując opłatę w kraju — może to uczynić, z tym jednak warunkiem, że zobowiąże się pokryć koszty przesyłki (porto) książek.

Prosimy zwrócić szczególną uwagę na następującą sprawę! Jeśli ktoś ma zamiar zapisać się do Klubu w ciągu miesiąca lutego, musi wyraźnie zaznaczyć na deklaracji, czy pragnie otrzymać jeszcze pierwszą książkę („Pożegnania” St. Dygata). W takim wypadku należy zapłacić pierwszą ratę w wysokości co najmniej złotych trzystu, to jest za grudzień 1947 i styczeń 1948.

Prosimy o zamawianie prenumeraty tygodnika „Odrodzenie” na oddzielnej kartce, a nie razem ze zgłoszeniem do Klubu.

A teraz kilka listów:  
P. Trott Franciszek z Żytini w powiecie Pasiek pisze: „proszę o powiadomienie, czy Gminna Biblioteka Publiczna może być członkiem Klubu”.

Oczywiście! Prosimy tylko o przesłanie deklaracji.

Zw. Zaw. Prac. Państw. R. P. Zarząd Okręgu Gdańskiego zgłosił się na członka naszego Klubu.

Witamy z wielką radością inicjatywę Zarządu, która aby była przykładem dla innych Zarządów i Członków Związków Zawodowych.

P. Jan Dobrowolski z Wolbromia napisał do nas bardzo miły list. Świadczy on o oddźwięku akcji klubowej nie tylko w centrach kulturalnych naszego kraju. Oto kilka zdań: „Kluby książki” zdobyły wielu członków na tzw. głębskiej prowincji — pozabawionej teatrów, koncertów, odczytów, a często nawet kina. gdzie jedynym przejawem kulturalnego życia jest książka, „Odrodzenie” i „Nowiny Literackie”. Czytelnik, który nie czyta, stale krytyk i recenzji w piśmie literackich, zawsze będzie tym pokrzywdzonym i jeżeli pragnie nabyć wartościową książkę, powinien zapisać się do Klubu książki, gdzie plan wydawniczy spoczywa w rękach pisarzy i krytyków, czyli fachowców w tej dziedzinie...”

Podziękujemy Panu bardzo za pełne zrozumienie naszych intencji i za życzenia rozwoju.

## Osobliwości Kudowy (przed wyjazdem przeczytać)

W Kudowie, gdzie nie tak dawno robili się w karcach elektorzy, gdzie ponoć miał „bywać kaiser Wilhelm, Churchill, książę Windsoru”, teraz może być każdy. Każdy, kogo stać na słabe organy, wczasy, ubezpieczalnie i 117 zł. dziennie.

Wielu przyczynom zawdzięcza Kudowa swą siłę. Nie starczyłoby miejsca na ich wyliczenie. Poprzedzą przeto na bodaj pobieżnym ich spisie:

### WODY, LEKARZE, KAPLICA TRUPICH CZASZEK

Do najznamienitszych wód Kudowy, poza wódami Polonii, należą dwa napoje mineralne: Marchlewskiego i Śniadeckiego. Ten pierwszy odwadnia nasz ustrój w sposób łagodny, pożyteczny, powiedzielibyśmy — może czasami za stanowczy, ten drugi — podnosi nasze ciśnienie, odnawia nasze nerwy, niekiedy powoduje kompromitujące rozluźnienie, podobnie jak duszniki „Szopen” (zwłaszcza po owocach).

Ten pierwszy przypomina w smaku sok z liżek tombakowych oraz nieświeżych szczypeków do obcinania cygar, ten drugi smakuje jak cocktail ze zgnitych jaj, starych gwóźdź i wody sodowej.

Wiele jest systemów picia tych wód. Do najczęstszych należą: 1)



„pijąc wolno i przechadzając, oraz 2) przechadzając się wolno i pijąc” (zależy to od przecinka w naszej karcie wód).

Kto nie przestrzega interpunkcji, ten przyzodoba sobie najbliższy cmentarz, albo też stanowi jeden z zasadniczych elementów tak zwanej „kaplicy trupich czaszek”.

W Kudowie, a raczej w odległości kilku kilometrów od tego źródła, wciąż buduje się z kości kuracjuszy — kaplicę.

Przewodnicy, chciwi grosza, pokazują na życzenie spichrz aż trzeszczący od tego turystycznego towaru. Gdy im zapłacić podwojony „tryngiel”, jeszcze raz wskazują na wojnę trzydziestoletnią, jako dostawczynię tych szczypek... Ale nająć mało krytyczny kuracjusz wie, kto jest właściwym „liwerantem” tych pamiętek...

Lekarze, indagowani w tej sprawie, uśmiechają się tylko. Gdy jednak nie zapłacić im za wizytę, a szczególnie gdy nie zapłacić 500 do 2000 za samą informację, pokazują, jakim przedsiębiorcą może być lekarz, gdy mu nie pozwolimy zarobić 200 do 300 tysięcy miesięcznie. Oczywiście bywają wyjątki, które tylko potwierdzają regułę. Bywają lekarze, którzy sami siebie

pochylony, jakby dźwigał we własnym wnętrzu paropudowy kamień kalowy, drugi promieniejący jak Cherubin, jak Cherubin szczypiący węża i jak on zaglądający do kąpiących się po drugiej stronie Zuzann”.

Zabieg ten jest niewinnym chwytym. Polega na przeprowadzeniu przez nas kilku beczek wody.

W czasie zwalniania tej ilości płynu okazuje się, jaką tajemnicą może być dla człowieka jego własne wnętrze. Woda bowiem odciepia od jelit nie tylko przylepione ośrodki z chleba, ale wyczuwa — niestrawione solitery, kłębiaki gumy do żucia, trudno wprost uwierzyć, ale zaklmano się — przedarte talie, karciane, guziki od płaszczy żandarmskich, starożymskie monety, korki szampańskie, nawet zęby mleczne.

Oto do czego może doprowadzić człowiek człowieka, gdy jeden z nich jest geniuszem.

### ZADEPTUJĄ NA ŚMIERĆ

Jeszcze jedna osobliwość: kuracjuszk.

Według nieoficjalnej statystyki na jeden dm mężczyzny przypada w tym źródle piękności 8 i 1/2 jednostek żeńskich wolnych, 7 i 1/3 jednostek stabilizowanych i 1/5 tam — rozwiedzionych. Jednostki

te wypełniają swymi ciałami gaje i zbocza śnieżne, wypierają z wanień wodę i mężczyźni i zamieniają Zdrój w jeden harem.

Łatwo sobie wyobrazić dancing w tych poręczach.

Wygląda to mniej więcej tak: sala w Polonii pachnie wyciągiem z korzenia kozłkowego, głoju bodłakowego, dziurawca, usta spalzone wichrami i cardiolesem pięją „Czy pamiętasz te noc w Zakopanem”, tancerki upojone borowiną i Śniadeckim zdeptują na śmierć swe rywalki, rywalki zdeptują stoliki i orkiestrę i potem wszystkie razem, jak gdyby już przestała istnieć hierarchia przedsiębiorczości i urody, powiązawszy się rekoma po pięć, po sześć jednostek, zdeptują zgodnie te resztki mężczyzny, jaka ocalała po wczorajszych zabiegach.

W tym samym czasie, gdy jedni kuracjusze nie śpią, tańcząc, drudzy drzemają, leżąc. Czują, aby rano ledwo świt, zapoczątkować nowe ogonki w biurach, asystować przy porannym sprzątaniu pijalni, nie pominąć ranego udoju.

Ci drzemający to najlepszy materiał kuracyjny. Usposobieni są do życia pozytywnie i nie lekceważą lekarzy. Także nie kpinkują nie-

## CAMERA OBSCURA CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem: Redakcja „Odrodzenia” Warszawa, Daszyńskiego 14, dział „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadanego materiału zastrzegając sobie prawo wyzniesienia go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przynajmniej nagrodę w wysokości 1000 zł., którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę z 1000 otrzymał w ubiegłym tygodniu ob. Zdzisław Grywałd (Wrocław, Państwowy Teatr Dolnośląski) za wycinek z „Dziennika Zachodniego”.

### ŁADNA HISTORIA!

W „Dzienniku Zachodnim” (11.I) czytamy:

W stolicy Dolnego Śląska bawił w piątek i sobotę b. wicepremier rządu czechosłowackiego Zdenek Firlinger z małżonką. Goście podejmowani byli we Wrocławiu przez premiera Jozefa Cyrankiewicza oraz ambasadora Langego. Po wspólnym spożytym obiedzie b. wicepremier Firlinger wraz z małżonką, premier Cyrankiewicz, ambasador Lange i wojew. Piaskowski wzięli udział w przedstawieniu komedii „Ładna historia” w Teatrze Popularnym.

A to rzeczywiście! Coś podobnego! I to tak nagle? Bez prób?

Dowiadujemy się w ostatniej chwili, że do Wrocławia wylecieli aeroplanem dyr. Szyfman i Poręba. Cel tej podróży niewiadomy.

### NIWYGÓDKA

Ogłoszenie w „Życiu Warszawskim” (17.I):

Ubikacje w Poznaniu obszerne, czyste, centralnie ogrzewane, z garażem, biurem i telefonem w dzierżawie etc.

Luksus, trzeba przyznać, nadzwyczajny, nawet przesylny. Ale jeżdżąc za każdym razem do Poznania...

Z. Z. CH.

„Głos Wielkopolski” (nr 19) w sprawozdaniu ze zjazdu Cechu Budowniczych Instrumentów Muzycznych:

Dalsze przemówienia wygłosili pp. Sobczak — prezes Związku Zawodowego Chrześcijańskich, Muszyński — prezes Izby Rzemieślniczej, Kowalewski — prezes MRN, oraz Golańd — wiceprezes przemysłowe i Instancji. Prezes Sobczak dokonał również uroczystego wzięcia gwóźdźki pamiątkowego w drzewiec sztandaru, jako odznaczenie przez Związek Zaw. Chrześcijań.

Uważamy, że rozwój sieci związków zawodowych na terenie Rzeczypospolitej wykazuje tendencje do nieczłowieczego przerostu.

### SPORTOWCY

„Kurier Popularny” (nr 16) przytacza za „Przeglądem Sportowym” opis milej zabawy towarzyskiej, jaką sobie urządzili w Częstochowie ligowi koszykarze krakowskiej „Wisły”:

Po meczu Wisła—Częstochowa, udali się oni do jednego z nocnych lokali, wracając do hotelu dopiero o drugiej nad ranem w stanie mocno podchmielonym. Natychmiast po powrocie rozpoczęli dzikie hałasy i śpiewy, które obudziły zamieszkałych w hotelu artystów teatrów miejskich i przejeżdżających gości. Następnie dzielnicowcy zeszli do piwnicy hotelowej i natrąwszy w niej na balie, wyciągnęli ją stamtąd i niosąc ją rozpoczęli wędrowkę po piętach wśród potwornego wrzasku. Z kolegi udali się do swych pokoi i tam napelnili balie wodą, a potem poruczali do niej całą bieliznę pościelową. W międzyczasie w dwu pokojach pozrywali żyrandole. Portier, pokojówka oraz jeden z artystów usiłowali uspokoić rozrzeszczoną gromadę, spotkali się jednak ze stekiem wyzwisk. O godzinie 6-jej rano krakowianie opuścili chykiem hotel, nie placąc rachunku w sumie 2.700 zł. Właściciele hotelu obliczają straty za urwane żyrandole na 3.000 zł.

To nie „Wisła”. To Wieprz. I to w najlepszym wypadku.

### ŚŁYSZAŁ DZWON...

„Życie Warszawskie” (21.I) w recenzji z „Blyskawicy”:

Na tle ponurych dramatów psychologicznych „Blyskawica” wyróżnia się zdrowym moralnym i radością życia. Film — zaiste — bakteriobójczy, niszczący bakcyle niewiary w człowieka i bakcyle niewiary w egzystencjalizm.

Są to tak zwane sarkotoki. Autorowi recenzji polecamy następujące lekarstwo:

Rp. Antisartrinae 100.000. Intelligentię minirae 0.05. Olei cerebrialis 10.00.

Zygmunt Fijas rysunki M. Piotrowskiego

## Z galerii zasłużonych

I

### O PANU TREPANOWSKIM

Za to, że „Warszawskiego Nowego Kuriera” był filarem i uciernym stugusem Hitlera, pana Trepanowskiego (chyba zastąpienie!) kolaborantem nazwano i szują. Lecz Trepanowski, w srogie wpadłszy oburzenie, że szarpia jego honor, że go maltretują — wnosi skargę do sądu (co prawda w Olsztynie), ufny, że satysfakcja go tam nie ominie. Pan Trepanowski broni swego honoru... sąd dopuszcza badanie podobnego sporu... Nie, to chyba żart kiepski, niesmaczna igraszka! Trepanowski oskarża! Ref! Wielkie nieba! Nic nie mogę zrozumieć! Och, pęka mi czaszka! Chyba się trepanacji poddać będzie trzeba...

II

### O PANI WIELGOMASOWEJ

Pani Wielgomasowa zetryumfowała. Słusznie. Tej zasłużonej Polce cześć i chwala! Wszyscy wiemy, że kadry wielkich patriotów, z których każdy za Polskę życie oddać gotów, tworzyły się w redakcjach: „Nowego Kuriera”, „Przełomu” et caetera. To jest prawda szczerą! Cieszymy się, że Związek przyjął dzielną damę, że jej szereg odznaczeń zaszczytną reklamę czyni, ale sądzimy, że oprócz tej pani jeszcze są jej koleżdy. Czemuś pomijano? Co zrobił dla nich Związek? Gdzie dla nich ordery? Wszak te same „Przełomy”, „Fale” i „Kuriery” z ich usług korzystały, jak z pani Heleny, każdy z nich by jej druhem, kompanem, kolegą. Czyliż się ich zostawi w ciemni? bez oceny? Ach! nie krzywdźmy Skiwskiego, Goetla, Burdeckiego i innych... Czas wstąpić akcję, co ukazuje w chwale tych, którzy w GG piórem walczyli wspaniale za Polskę! Czas nam dowieść, że nas nie nie mamy, (niestety: takich ludzi zwaliśmy swiniami...), że każdy dziś w narodzie już bez trudu pojmie gdzie się patriotyzmu istotne rękojmie, kto Polakiem jest w pełnym sensie tego słowa. Ach, taka akcja musi być wielko-masowa!

Gabriel Karski



leczą za pieniądze, pacjentów za darmo, bywają także herosy, co do chorych dopłacają. Ci „wyjątkowi” nigdy wam nie zapiszą „kapiełki kieszek” dla celów beletrystycznych.

### KAPIEŁ KISZEK

Kapieł kieszek jest zabiegiem starym jak świat. Na długo przed promieniami Röntgena zabieg ten odawał nieocenie usługi w kopalniach kruszców i diamentów. Później, gdy rewizje osobiste zmorderizowano, plukanie jelit zastosowano w Krynicy i Kudowie. Tak przynajmniej mówią kapiełowci.

Nie przepisano mi na szczęście tej specjalności, znam jednak pewnego satyryka, który zabieg ten przeżył w Miłowodach.

„Radość z powodu uzyskania świadectwa dojrzałości — mówił ów pacjent — jest niczym wobec olśnienia, jakie ogarnia was po tym zabiegu. Wszelka gorzcy odpada od nas jak kartka z kalendarza. Wszelkie zawody życiowe, wszelkie smutki, cała ta tak zwana dojmująca bolesność życia demaskują się jako nędzny bluff bez pokrycia. Widziałem raz pewnego pacjenta przed i po zabiegu. Po prostu dwaj inni ludzie. Jeden zmarszczony, pogięty, z twarzą rozdeptaną przez los i